

Blazewska-Kosinska_Maria_I-0040-1A [00:00:00]

Maria Błażewska-Kosińska: Nazywam się Maria Błażewska-Kosińska. Urodziłam się we wrześniu 1920 roku, we wsi Orle na Kujawach, w powiecie Włocławskim, niedaleko Nieszawy. Moi rodzice, rodowici Warszawiacy. Byli wtedy w Boru nauczycielami wiejskimi. Mieli uczyć wiele starszych nawet od siebie. Dlatego, że przecież była wojna. Znacząco skończyła się już wojna bolszewicka. Po 4 latach, aha miałam brata, 2-letniego, o 2 lata młodszego. Więc kiedy brat miał 2 lata a ja 4. Rodzice postanowili doksztalać się. Ojciec zapisał się na Uniwersytet Warszawski. Na wydział geografii historii. A matka była przez rok słuchaczką na płatnym urlopie. U pani dyrektor Marii Grzegorzewskiej z Instytutu Pedagogiki Specjalnej. Wobec tego rodzice przenieśli się pod Warszawę. W Warszawie było trudno z mieszkaniami. Zresztą i sytuacja była trudna. To był rok 1924, 25. Więc zamieszkaliśmy w Wołominie bo rodzina mojej matki, ciotki, były w Warszawie, ale nie było tam miejsca dla nas. Więc zamieszkaliśmy w Wołominie. Dzieci były pod opieką gospodyni, u której rodzice wynajmowali pokój. A rodzice dojeżdżali codziennie do Warszawy na studia. Po roku ojciec awansował. Dostał pracę, wykładał historię geografii w seminarium nauczycielskim w Lubawie. 5 km od granicy Prus Wschodnich. To było małe miasteczko 2-tysięczne, w którym jednak było gimnazjum polskie. Seminarium nauczycielskie i szkoła wydziałowa dla dziewcząt. Matka pracowała z początku w szkole powszechnej a później nawet wydziałowej, a później przestała pracować... nie, właściwie pracowała do naszego wyjazdu z Lubawy, a ojciec, który był bardzo energiczny i szalenie zdolny, właściwie on kierował tym seminarium, bo dyrektor lubiał grać w brydża. I zostawiał spokojne troski. Więc uczniowie byli dorośli z Warmii i Mazur. Ale nie wiem czy oni mieli obywatelstwo polskie, czy mieli obywatelstwo niemieckie i byli na kursach seminaryjnych. Seminarium kształciło działaczy oświatowych i nauczycieli z Warmii i Mazur. Nawet ojciec przed wojną dostał złoty krzyż zasługi za pracę dla ziem zachodnich. W Lubawie mieszkaliśmy 3 lata. Ja chodziłam do szkoły ćwiczeń. Bo każde seminarium, taki był układ, że szkoły organizowane przy seminariach nauki, nazywały się ćwiczeniówkami, były 4-klasowe i w tych ćwiczeniówkach praktykowali od razu uczniowie seminarium, więc

[00:05:00]

poziom był trochę wyższy niż w szkole podstawowej, powszechnej raczej jak to się nazywało. Nie chodziłam do pierwszej klasy, bo mając 6 lat matka nauczyła mnie czytać i pisać i mając 7 lat poszłam od razu do drugiej klasy. Braciszek mój był później 3 lata, był normalny, poszedł normalny, miał 7 lat, także 3 klasy był niżej, a 2 lata w ogóle młodszy. Brat miał na imię Andrzej. Po 3 latach spędzonych w Lubawie, gdzie nawet władze specjalnie oświatowe dawały, kierowały nauczycieli z różnych stron Polski. Także nie sami Pomorzacy byli nauczycielami, ale właśnie moi rodzice jako Warszawiacy się znaleźli. Zajac dyrektor seminarium był ze Lwowa. Słowem była mieszanka i wszyscy bardzo dobrze ze sobą żyli. Pamiętam na przykład taką rzecz, że ci... No dopiero się zaczynało (*niezrozumiale*) bardzo wielka komedia o tym, jak zięć wioził teściową na Wawelu i teściowa mówi, że zła pszczoła w nos. Ale teatru nie było, teatr był domowy. Więc wszystkie te dzieci nauczycieli uczyły się ról i było wyzwolenie Polski, Polska prawda była, żywe obrazy i te dzieci były zżyte między sobą i nauczycielstwem. W roku 1930 ojciec dalej awansował. Do Torunia. W Toruniu było kuratorium, a właściwie kuratorium było poznańskie, ale była, no nie wiem jak to nazwać.

Rozmówca: Siedziba?

MBK: Nie, kuratorem był... a może siedziba w Toruniu, w każdym razie kuratorium wiem, że poznańskie, a tam były pewne wydziały. I ojciec został wicedyrektorem powszechnym. Ja poszłam do pierwszej klasy gimnazjalnej, miejskiego gimnazjum w Toruniu i pamiętam, że bardzo tęskniłam do Lubawy i wtedy napisałam wiersz o jak ja tęsknię do mojego kraju, do tych białych róż. O jak ja tęsknię do tego gaju i tych czerwonych zórz. Tak brzmiała pierwsza zwrotka z tęsknoty za obawą. Ale żyłam z dziewczynkami w tym gdańskim gimnazjum. Na przykład ze znanych osobistości w Polsce bo w Toruniu było męskie gimnazjum, także polskie i męskie gimnazjum niemieckie. Więc na przykład Zbigniew Lengrent był uczniem polskiego gimnazjum, a Danusia Lengrenówna jego siostra była moją drużynową w harcerstwie. W Toruniu był... Aha jeśli chodzi o domowe czytania to nakaz był we święta, na każdą wigilię pod choinką czekały na nas książki. A niektóre doskonałe. No i doskonale redagowany był Płomyk i Płomyczek. Doskonale... w Toruniu nadeszła nowa propozycja dla ojca, do Lwowa. Na kierownika referatu oświaty pozaszkolnej, to był wielki awans, dlatego, że kuratorium lwowskie obejmowało trzy województwa: stanisławowskie, tarnopolskie i lwowskie. A więc pole do popisu szerokie.

[00:10:00]

Ja natomiast poszłam już w połowie przerwy, przenosiliśmy się w połowie roku, w styczniu bodajże, czy w grudniu i 32 roku i była wtedy straszna zima, 20 stopni mrozu codziennie. No ale ojciec mój bardzo świetny organizator tak zorganizował przeprowadzkę, żeśmy tego nie odczuwali. I zatrzymaliśmy się w Warszawie na kilka dni, u rodziny, wtedy byłam w teatrze na „Wilku z Koźlętami” i zwiedzaliśmy zamek. Zamek był do zwiedzania, tylko... No i przyjechaliśmy do Lwowa. We Lwowie w domu ojciec był nieuchwytny, bo ciągle coś organizował, jeździł po ternie, znał nauczycieli wszędzie. Nie wiem kto był kuratorem wtedy jak ojciec zaczynał pracę, ale jak wybuchła wojna to już kilka lat był kuratorem pan Tadeusz Kupczyński. Postać znana, bo dopiero po wojnie, teraz czytając różne rzeczy dowiedziałam się, że Tadeusz Kupczyński, który umarł zresztą w 68 roku wy dostał się ze Lwowa, spędził okupację w Warszawie chyba. W każdym razie po stronie niemieckiej. I był zaangażowany także w radzie harcerstwa chyba, a pracował zdaje się w spółdzielczości. Więc tutaj ojciec też bardzo energicznie tam działał, pisał referaty, a nawet w czasie wakacji, jak byłam starsza to raz byłam z ojcem, bo w czasie wakacji prowadził kursy nauczycielskie, u nauczycieli szkół powszechnych na całym terytorium, dlatego że na terenie oświaty pozaszkolnej byli nauczyciele do pracy z dorosłymi. No więc właśnie ojciec był na tym stanowisku oświata pozaszkolna. Mnie to bardzo interesowało, więc byłam na takim kursie, byliśmy w Sławsku? Nie. W każdym razie, jak on się nazywał? Aha, Uniwersytet Ludowy, także miał kontakt z Uniwersytetem Ludowym, ale to był uniwersytet inny niż Gatia, niż Gać.

Rozmówca: To był Uniwersytet Ludowy w Przeworsku?

MBK: W Gatii.

Rozmówca: W Gatii koło Przywrośka tak?

MBK: Ale nie uniwersytet, w którym ojciec mój miał..

Rozmówca: To był Uniwersytet Ludowy?

MBK: To był Uniwersytet Ludowy, ale także była sprawa zawiązania uniwersytetu ludowego, to już ostatnio przed wybuchem wojny, na terenie kuratorium lwowskiego. Związane to było z TZ, Towarzystwem Szkoły Ludowej, w której ojciec też pracował, też wydawał pismo zdaje się Szkoła Ludowa. No w każdym razie tak się stosunki rodzinne ułożyły. Ojciec już zarabiał więcej, zresztą on dorabiał bardzo dużo swoimi wyjazdami i organizacją pracy, organizowaniem pracy, tak że matka już mogła nie pracować zawodowo i całkowicie poświęciła się wychowaniem dzieci. Mieliśmy pomoc domową

[00:15:00]

z którą stosunki zawsze były bardzo dobre. W roku 35 rodzice zdobyli się na wybudowanie małego domku rodzinnego, z ogrodem. Z ogródkiem niewielkim i podwórzem, ale takiego domku, w którym każdy miał swoje miejsce. Był pokój matki, gabinet ojca, pokój Andrzeja, mój pokój i jeden duży wspólny pokój jadalny. Ja w tym czasie zawsze byłam bardzo dobrą uczennicą z polskiego. Z polskiego i historii to zawsze miałam bardzo dobre. Chodziłam po przyjeździe do Lwowa, chodziłam pół roku do prywatnego gimnazjum im. Zofii Strzałkowskiej, ale jak ojciec zobaczył na świadectwie końcowym, że ja mam prawie same piątki, to powiedział, że zabiera mnie z tego gimnazjum, bo to jest niemożliwe, bo ja jestem tępą do matematyki i przeniósł mnie do państwowego gimnazjum im. Królowej Jadwigi. To było jedyne wówczas żeńskie gimnazjum państwowe, a było dużo prywatnych. A męskich gimnazjów państwowych było 12, a poza tym były prywatne. Nawet niemieckie gimnazjum też było we Lwowie. No i Korpus Kadetów. Także ja byłam czynna z początku w harcerstwie, a jak nie, to miałam już 15 lat to już harcerstwo mnie nie bawiło. Zbliżyłam się do koleżanek ze starszych klas, czytałam później Młodych. Słyszał pan tę nazwę? Wie pan? To pan jest zorientowany?

Rozmówca: (nz).

MBK: Więc byłam czytelniczką później Młodych, ogólnopolskiego pisma wydawanego przez Zamek, o czym wspomina szeroko Kazimierz Koźniewski w swoim pamiętniku, że te dwa domy, zamknięte koła. I tej grupy, z którą miałam kontakt. I po łowicku jest dużo. Ale Kuźnia Młodych właściwie była już dla tej starszej młodzieży, tej 7 i 8 klasy gimnazjalnej. Ja byłam wtedy chyba w szóstej gimnazjalnej, jak zapoznałam się z Kuźnią. Skoro już miałam 15 lat i Kuźnia ogłosiła pamiętnik, konkurs na pamiętnik ucznia. Ojciec nawet przywiózł ten numer do domu i mówi, może byś wzięła udział. I ja rzeczywiście wzięłam udział, przepisałam swoje dzienniczki i posłałam. Ale po wakacjach okazało się, że później nie będzie wychodzić. Rozleciało się to. Z tą, Koźniewski ją później, on na przykład jeszcze w książce gdzieś... i wtedy więc ja się zaniepokoiłam, a w szkole w państwowym gimnazjum powstała założona przez kilka koleżanek

[00:20:00]

ze starszych klas straż przednia. Straż przednia, jak to napisał później Koźniewski, że była Esemrywą. I szybko skończyła swój żywot. Ale straż przednia to była piłsudczykowska

organizacja młodzieży, ale młodzieży takiej, która jeździła na obozy straży przedniej na nowogruszczyźne do Hołówkowa, Hołówko dał swoją siedzibę na strażnicę. I wtedy kiedy straż przednia już się kończyła w Warszawie, bo najaktywniejsza młodzież później poszła, to było bardzo właśnie różnie, bo przecież nawet krytyczne spojrzenie na marszałka, dopiero się zaczynało bardzo późno, ale z tej młodzieży wyszli działacze także zeteemesowscy, później ci, komuniści. Na przykład Maria Zieleńczykówna była w Komitecie w Kuźni Młodych. A Maria Zieleńczykówna to dzisiejsza Maria Turlejszka, historyk. A Herling-Grudziński w Kuźni jako 19-latek, student pierwszego roku polonistyki chyba. Nie, to już był (nz), ale jeszcze w szkole, w gimnazjum, uczeń gimnazjum z Kielc prowadził bardzo świetlaną, że tak powiem akcję, Krytykę Literacką. W Kuźni był Koźniewski. Ale Koźniewski i ja to młodsze pokolenie, już młodsi... Chociaż nie, Herling-Grudziński to 19 rocznik, Koźniewski 19 rocznik, ja 20 rocznik, Witek Kosiński 18 rocznik. No i wtedy w straży przedniej miałyśmy wybrane i pomagało to na udziale w pracy społecznej. Na całe gimnazjum, 500 uczennic nasze Koło Straży Przedniej liczyło 7 osób. I myśmy zaopiekowały się ochronką, okropną ochronką dla dzieci niechlubnych i tam codziennie któraś z nas inna chodziła na korepetycje dla dzieci. To znaczy pomagałyśmy im, pomagałyśmy im uczyć się, bo to było zaniedbane wszystko i naciągnęliśmy naszych rodziców, żeby dali pieniądze i na gwiazdkę kupiliśmy dzieciom ciepłe filcowe pantofle, bo marzły tam, były podłogi... Tam była okropna ochronka. Zorganizowaliśmy przedstawienie w szkole, w gimnazjum Królowej Jadwigi wieczornicę taką. Zaprosiliśmy chłopców także z tych co przychodzili na tańce do nas i dziewczęta i zorganizowaliśmy wieczornicę, gdzie recytowaliśmy. Więc zbiorowa recytacja była wiersza

[00:25:00]

Lechonia Piłsudski. Zna pan ten wiersz?

Rozmówca: Na pewno

MBK: „A on mówić nie może. Mundur na nim szary”. Ale to bardzo dobry wiersz, bardzo taki szeroki. Poza tym wyjątki z Kuncewiczowej, Haliny Górskiej pisarki lwowskiej. No w ogóle wieczornica się udała. W lecie byłam na obozie Straży Przedniej w Hołówkowie. Byłam wtedy w szóstej klasie? Czy siódmej? To system ośmioklasowy i tam prowadziliśmy pracę społeczną w Hołówkowie. Akurat spaliła się wieś, spaliła się wieś i wojsko ratowało tych gospodarzy więc... i tam biedota była, wojsko zapewniało kawę i komiśniak, czyli chleb żołnierski, bardzo dobry zresztą. A myśmy rozdzielały tą kawę i ten komiśniak między (nz) i organizowaliśmy dla nich teatr kukielkowy, więc dzieci były zapraszane na kakao i oglądanie

spektaklu. I ogniska były i zawsze że tak powiem dyskusje. Zajęte byłyśmy pieleniem też ogrodu, który był przy Hołówkowej. Wieczornica, na Wieczornicy przyszli chłopcy, bo oni byli na jurackim obozie niedaleko. Były tańce i występy, na przykład inscenizacja „Stokrotki”, gdzie „strumyk płynie z wolna”. Więc jedna miała butelkę z wodą i lała, śpiewali „strumyk płynie z wolna”. Więc było, było humoru. Ale właśnie wtedy kiedy straż, ideologią straży przedniej był Adam Starzyński. Strasznie miał takie przejmujące oczy czarne na portrecie, który właściwie straż przednia miała trochę zabezpieczyć tą młodzież przed zbytnim jakimś radykalizmem, ale to się nie udało i ta pierwotna straż później przeszła do mówię właśnie, że młodzież pewna nawet poszła do komunistów, a inni nie zostali demokratami, zostali sobie artystami, zostali ludowcami, różnie to się układało. W każdym razie bardzo to był taki czynny wypoczynek na obozach. W 40, w 38 roku. Aha, więc wracając do pamiętnika ucznia. Kuźnia się rozwiązała, straż przednia w Warszawie już upadła i wtedy pomyślałam sobie, a właściwie jak się rozwiązała kuźnia, co się stało z moim pamiętnikiem, niech mi to zwrócą, niech się nie poniewiera. I napisałam bardzo ostry list do Kuźni, na adres Kuźni, żeby mi oddali mój pamiętnik. Tydzień później dostaje list na 12 stron. Pisany pięknym pismem takim kwiecistym od Witka Kosińskiego, który mi tłumaczy, który prawdopodobnie przejął całe archiwum po Kuźni, powiedział, że będzie wychodzić nowa Kuźnia napisał. W ogóle list się zaczynał miła koleżanko i naprzód mi wytłumaczył, że pamiętnik nie zginął. Ten dziennik, właściwie to był dziennik, że mi odeśle. A na końcu było... list był bardzo ciekawy, a na końcu było takie zaproszenie, wzmianka nieznaczną, że jeśli by koleżanka chciała napisać do mnie to podaję adres. Kuźnia jeszcze powstanie to staramy się, żeby powstała nowa kuźnia. No więc ja odczekałam 10 dni, żeby nie pomyślał sobie, że mi tak bardzo zależy na tym, żeby z nim korespondować.

Blazejewska-Kosinska_Maria_I-0040-1B

MBK: No i od tej pory zaczęła się korespondencja. Już drugi list on napisał do mnie myszko, bo tak mnie wołał w domu i później w szkole i wszędzie. A ja odpisałam Witku już byliśmy na ty przy drugim liście i mogliśmy dalej dyskutować. W każdym razie raz na tydzień list był. Witek był znaczy współpracował z kuźnią młodych, nawet z... Witek pochodził z Białegostoku, był urodzony w Białymstoku. Jego ojciec bardzo znany na białostoczczyźnie, Konstanty Kosiński. Pierwszy redaktor i wydawca Gazety Białostockiej. Jak przychodzą zaduszki to na cmentarzu są kwiaty i od Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich i od

Stowarzyszenia Dziennikarzy Rzeczypospolitej. Zresztą bardzo zasłużony człowiek dla białostoczczyzny. Profesor matematyki który kształcił się w Petersburgu dzięki jakiemuś zamożnemu kuzynowi, bo sam pochodził z Kosianki, ale są dwie Kosianki. Ja dokładnie nie wiem jaki to powiat, zdawało mi się, że siemiatycki. Ale w siemiatyckim są Kosińscy też jakoś spowinowaceni i tam jest ta Kosianka, a dziadek znaczy teść mój pochodzi z innej Kosianki, no w każdym razie w Petersburgu kończył studia i był nauczycielem w gimnazjum matematyki, ale oprócz tego był dziennikarzem i zakładał polskie towarzystwo krajoznawcze w Białymstoku. W każdym razie bardzo zasłużony. No i tajne nauczanie w czasie okupacji. Więc Witek kończył gimnazjum imienia Zygmunta Augusta w Białymstoku zdał maturę mając 16 lat, był rocznikiem 18. I wyjechał samodzielnie z Białegostoku do Warszawy, żeby studiować w wyższej szkole dziennikarskiej. Zapisał się do wyższej szkoły dziennikarskiej, a jednocześnie związał się ze Związkiem Polskiej Młodzieży Demokratycznej. I Związek Polskiej Młodzieży Demokratycznej wydawał pismo Przemiany, tygodnik. I Witek tam został sekretarzem redakcji. Więc był sekretarzem redakcji w Przemianach, a z kuźni miał archiwum całe, tak pisze (nz) przynajmniej, że prawdopodobnie Witek przejął archiwum po rozwiązaniu kuźni i zaczął wtedy wydawać nową Kuźnię Młodych no ale to już może za szczegółowo opowiadam. W każdym razie był powiązany z tą młodzieżą bardzo żywą studencką w Warszawie. A więc znał Martę Wańkowiczównę i bywał tam w domu u Wańkowiczów. Czy w ogóle z Martą się spotykali. I był taki teatrzyk Parabumba, który znowu z młodymi aktorami, to Koźniewski wszystko pisze.

[00:05:00]

Równocześnie też współpracował z Orką. Orkę założył Jerzy Drewnowski. Znane panu nazwisko? Zna pan jego Cyngę?

Rozmówca: Nie.

MBK: Mam tą książkę pożyczę panu. Jerzy Drewnowski, student ekonomii, Drzewecki Jan, zamordowany.

Rozmówca: Socjolog?

MBK: Tak. Herling-Grudziński. To było pismo już nawet poważne, ja mam zresztą trochę. Zachował się jeden skoroszyt artykułów Witka, bo no i... Więc z Orką współpracował, z Przemianami, Nową Kuźnię zorganizował w ogóle miał dużo pracy organizacyjnej i w 37 roku we wrześniu dzień przed moimi urodzinami przyjechał do Lwowa, żeby się poznać

osobiście. No i bardzo szybko tak się stało, że postanowiliśmy być małżeństwem. Ale ja uważałam, że to małżeństwo będzie potem jak ja skończę studia. A wtedy byłam w 7 klasie gimnazjalnej i w każdym razie wtedy jego rodzice znaczy Konstanty Kosiński został dyrektorem gimnazjum w Krużawie na (nz) i tam pojechałam przedstawić się rodzinie i w ogóle spędzić święta noworoczne. I przed samym wybuchem wojny przeniesiono Kosińskiego z powrotem do Białegostoku. A więc byłam w Krużanie i to były już wakacje roku... To były ostatnie wakacje w roku 39. Aha jeszcze o mnie, że wszyscy myśleli, że wybiorę polonistykę, a mnie interesowała praca społeczna, oświatowa i ojciec miał kontakty w Warszawie z panią prof. Heleną Radyjską, która założyła studium społeczno-oświatowe przy wolnej wszechnicy polskiej. A wolna wszechnica polska powstała z kursów latających. Hałasiński tam był, Korczak. Słuchałam wykładów Korczaka. Bo wolna wszechnica była dla nauczycieli, już ukształtowanych nauczycieli, którzy na rok przyjeżdżali na płatny urlop, na doksztalcenie się. Studium było dla maturzystów i wszystkie tam, Szmaglewska między innymi była rok wyżej ode mnie na studium w tym i ojciec, a ojciec miał dlatego kontakty z Radlińską, że chciał podobne

[00:10:00]

studium założyć we Lwowie. Ale powiedział do mnie tutaj będzie dwuletnie, a w Warszawie już ma ustabilizowaną pozycję i będzie 4-letnie, więc jak chcesz. Ja powiedziałam, że chcę do Warszawy, ja powiedziałam też uważam, że to będzie słuszniej. Więc pojechałam do Warszawy w 39 roku. Akademicki 38/39, tutaj poznałam trochę kolegów Witka. I zajęcia na studium były znaczy studium miało trzy jakby kierunki, oświata pozaszkolna, opieka społeczna i biblioteka. Ja wybrałabym oświatę pozaszkolną, ale do wyboru to było jeszcze daleko, miało być po dwóch latach dopiero, a na razie były wspólne niektóre wykłady. No więc z tych czasów studiów to utkwiała mi przez panią prof. Radlińską wszyscy znali babcię, a po wojnie ona i studium przeniosło się do Łodzi jak Warszawa była zniszczona i cały ten pion wie pan później w różnych tych takich bardzo awangardowych pomysłach można było znaleźć u słuchaczy kiedyś zgromadzonych przy (nz) ale nie wiedziałam o tym, że na przykład... A dowiedziałam się od, jak ona się komicznie nazywa? Nie przypominę sobie teraz. Dowiedziałam się od jednej pani, która dzisiaj ma pewno 80 lat i pisze książki. Napisała „Od przątki do (nz) starego gniazda”. Podwójne nazwisko. W każdym razie okazało się w rozmowie, że ona też była bardzo dawno, dawno słuchaczką Radlińskiej i spytała mnie, a czy pani wie, że babcia była na Sybirze? Ja mówię nie wiem. Ona mówi: „tak”. Więc to bardzo taka szlachetna lewica polska. I więc ze studiów rzeczy praktyczne że tak powiem pamiętam

to była praktyka tydzień w ośrodku pomocy społecznej gdzie trzeba było przeprowadzać wywiady rodzinne. Czy dwa tygodnie nawet, a potem napisać sprawozdanie. Wtedy pamiętam jak bolałam nad tym, że bezrobotnym udzielano 15 zł zasiłku i kawałek mydła na miesiąc. To było straszne. A później były zapisy dzieci do szkół. Nie, to wcześniej. W maju były chyba zapisy dzieci do szkół, bo studium miało taką ośrodek doświadczalny co się przyjaźnił ze szkołą na Ochocie. Tam gdzie teraz jest ulica Wolnej Wszechnicy Polskiej, tam była szkoła...

[00:15:00]

Ale to były dalekie pola w stosunku do Warszawy, ciemno tam tak było. Biedna dzielnica i tam dzieci zapisywano do szkół. Więc z inicjatywy studium, studentki były przy zapisie do szkół i przeprowadzały 4-stronnicowy wywiad z każdą matką, z tego okresu zostało mi wspomnienie wielkiego rozrzewnienia w oczach tych robotnic i tych bezrobotnych, tych matek, jak miały opowiedzieć o rozwoju swojego dziecka, bo ta ankieta była bardzo szczegółowa, jak się urodził, czy zdrowy, na przykład pytanie, czy się moczy? Kiedy przestał się moczyć, cała przez psychologów i socjologów, to chyba tak to można nazwać. Spreparowana ankieta, która nauczycielce, wychowawczynie w pierwszej klasie miała dać obraz klasy, od razu i uważam, że to było słuszne, że to był kontakt z matkami przy zapisie, nie przez psychologa, który ma pod opieką... kilka szkół, gdzie jest orzeczenie psychologa i lekarskie przy zapisie dzieci. To psycholog, to tylko on no dość szybko to musi pisać, a tu była bardzo dokładna charakterystyka dziecka i środowiska i warunków materialnych i moralnych. No i Witek zdał egzamin. Jak zdał... aha. Więc pojechałam do Warszawy i postanowiliśmy się pobrać. Tylko, że Witek nie miał jeszcze 21 lat, od których zaczynała się pełnoletność, a ja miałam 18.5 już, to już byłam pełnoletnia według przepisów, 18-letnia. No i Witek uzyskał od ojca pisemne zezwolenie na ślub i wtedy wzięliśmy ślub w kościele św. Krzyża w kaplicy matki boskiej. I pojechaliliśmy na wakacje. Pojechaliliśmy na wakacje na przód do Prużany gdzieś poszli w dwutygodniową wędrówkę po Nowogrodzyczynie, byliśmy w Lidzie, byliśmy w Wołkowysku, szliśmy przez 15 km przez lasy sapieżyńskie, byliśmy w Prużanie. W Kosowie Poleskim to nas nawet policjant się zaniepokoił nami, bośmy czekali na pociąg, tak chodziliśmy pieszo, ale to już było ostatnie jakieś 20 km, czekaliśmy na pociąg i policjant się nami zainteresował, bo niedaleko była Bereza Kartuska, więc nie wiedział czy my nie jesteśmy jakimiś agitatorami i to były bardzo dobre wakacje, a w sierpniu pojechaliliśmy do Lwowa. I w sierpniu w domku moich rodziców zastała nas wojna. Wkrótce też lwowskie dworce przepełniali uchodźcy z poznańskiego i ze Śląska, cała grupa

dziewcząt, maturzystek, studentów i moja matka. Poznałyśmy się z panią Marią Wirzyńską, dyrektorką szkoły sióstr dominikanek. Bratową Kazimierza Wirzyńskiego poety.

[00:20:00]

Karmiło się uchodźców wojskową kawą i chlebem, a potem zalegali pokotem na słomie domów akademickich i szpitali. Lwów dzielnie bronił się przed hitlerowcami, póki nie nadeszli Rosjanie. Kiedy przyszli odetchnięto z ulgą. Matka moja i brat brali udział w obronie Lwowa przed hitlerowcami, mnie i Witolda nie było podczas obrony Lwowa. Uciekliśmy aż do Bruszczowa. Wróciliśmy do moich rodziców i do brata Andrzeja już po wkroczeniu Armii Czerwonej. I oto po pewnym czasie pani dyrektor Wirzyńska zebrała u siebie w domu kilka dziewcząt absolwentek różnych gimnazjów lwowskich. Zaprosiła moją matkę i powiedziała, że powstaje na razie w tajemnicy jeszcze. Organizacja, której zadaniem będzie tworzenie legionów polskich, przy boku Armii Czerwonej. I obie te armie pójda razem na Niemców. Jest już sztab organizacji pod wodzą emerytowanego, odepchniętego przez Piłsudskiego, słowianofila, generała Januszajtisa. A dziewczęta będą spełniały rolę łączniczek między sztabowcami i generałem. Dla rozpropagowania idei legionów zostaną też wydane ulotki, ale na razie jeszcze cicho sza, przyjdzie na wszystko czas. Mnie zlecono kontakt z pewnym lwowskim urzędnikiem. Olga Manfryd (?) córka pastora ewangelickiego, koleżanka z klasy oraz Ela Jurkiewicz, absolwentka szkoły krawieckiej. Wandzia Bauer od Urszulanek chyba. Kazia Korczyńska, Stacha Wanatówna i Maryla Motylewska. Maryla była trochę starsza od nas i nie pamiętam już jaką szkołę kończyła. Z różnych gimnazjów od zakonnice miały też swoje kontakty przeważnie z Poznaniakami, naukowcami i ludźmi różnych zawodów. Byłam u swego kontaktu raz, przedstawić się, potem wzięłam 200 ulotek wzywających Polaków do organizowania legionów polskich i zaniósłam dwie do jednej z dawnych koleżanek. Nie wiadomo dlaczego nie polecałam z ulotkami do byłych strażaczek, lub członków lwowskiej młodzieży społeczno-demokratycznej powiązanej ideowo ze Związkiem Polskiej Młodzieży Demokratycznej, której przewodzili Jerzy Lelski-Sołtysik, to jego nazwisko pełne mam tu jego książkę. Jan Lech, Wiesław Opałek, bracia Wanilowicze, Włodek Czachowski, Zdzisław Rzygulski. Witek zapatrywał się na moją działalność sceptycznie. Miał swój krytyczny pogląd na osobę Januszajtisa nie mieszał się do czegokolwiek nie dopytywał, nie znał moich kontaktów tylko dyskutował po kawiarniach z przyjaciółmi. Nagle 19 października 39 roku na rodzinę spadł pierwszy cios. Brat Andrzej, uczeń 1 licealnej, czyli przedmaturalnej klasy, III Państwowego Gimnazjum Męskiego został niespodziewanie aresztowany w szkole. Dyrektor (nz) czekaliśmy na jego powrót długo, aż wieczorem ojciec wybrał się do mieszkania

dyrektora, co robił Andrzej, dlaczego go aresztowano? Nikt nie wiedział. Wtedy rzuciliśmy się do jego biurka, znaleźliśmy w nim dziecienną drukarenkę. Co drukował nie wiadomo. Ojciec miał zamiar skomunikować się z adwokatem Randalem.

[00:25:00]

Który przed wojną mieszkał w Krakowie i bronił komunistów. Ale my nie byliśmy komunistami, tylko po prostu wyobrażaliśmy sobie, że władze radzieckie takiego adwokata, który bronił komunistów przed wojną dopuszczają do obrony. Który osiadł we Lwowie. 23 października wczesnym popołudniem przyjechali do domu dwaj funkcjonariusze NKWD po matkę. Prała właśnie bieliznę w łazience, same zniszczone buciki. Czy jadę zobaczyć się z Andrzejem? Da, da. Tak jak stała narzuciła na siebie cienką jesionkę, zielony, wełniany szalik, brązowy beret do półbucików wsunęła skarpetki wełniane i pojechała. Kiedy przyszedł z miasta Witek oboje czekaliśmy cierpliwie na powrót matki. Nadszedł ojciec, czuł się zagrożony w kuratorium gdzie pracował. W kuratorium gdzie pracował nie wszystko układało się dobrze z nowymi władzami. Postanowił ukrywać się. Gdyby matka wróciła zapalcie w jej pokoju lampę i poszli. Lampy nie zapaliliśmy tego dnia. Nazajutrz 24 października 1939 roku poszłam do adwokata Randala. Wysłuchał, obiecał pomóc. Tego samego dnia pod wieczór przyszedł kurator Kupczyński. Zdezorientowany pytał o ojca, rozmawialiśmy właśnie we trójkę w dużym pokoju w kręgu lampy gdy zadzwoniono do furtki. NKWD. Dwaj żołnierze pobieżnie bardzo przejrzeni kąty i wrócili pod lampę. Kak wasz zawód? Maria Kosińska, córka Henryka? Tak. Zabierajcie się z nami. Nagle dopadł mnie strach. Dokąd mam jechać? Boję się, prawdopodobnie jestem w ciąży, bo od miesiąca mdli mnie zapach gotowanych ziemniaków i jabłek. Boję się tych obcych ludzi, nie pojadę, płaczę. I wówczas staje przy mnie Witold, który oznajmia zdumionym funkcjonariuszom, żona denerwuje się jest w ciąży, miejcie wzgląd na to. Nie bój się myszko. Pójdziemy razem i wszystko wyjaśnimy. Uspokojona wkładam stary sukienny płaszcz, szalik, beret, sznuruję trzewiki. Witek ubiera się też w starą jesionkę, kładzie czapkę cyklistówkę, zasiadamy do czekającego u furtki samochodziku. Tulimy się do siebie uspokojeni. Na pewno nie będzie tak źle. Wytlumaczmy wszystko i wrócimy. Ostatecznie gdyby nas aresztowano to na pewno jako małżeństwo będziemy w jednej celi. Rozmawiamy i żartujemy z funkcjonariuszami, aż do wrót potężnego gmachu przy ul. Pełczyńskiej. Tutaj okazuje się rozdzielają nas, pocałunek. Krótkie przesłuchanie i około 2 w nocy znalazłem się na Zamartynowskiej w przedwojennym wojskowym więzieniu. Rewizja, odebrano mi szalik, pasek od płaszcza, sznurowadła i obrączkę. Wszystko zapisano na kwicie i wepchnięto mnie do karceru. Była tam drewniana

Prycza i nieopalaną rurą od pieca. Dyżurny podglądał przez judasza. Stałam oszołomiona nic nie rozumiejąc, w płaszcz i zawinawszy się na pryczy zasnęłam. Z karceru rankiem poprowadzono mnie przez korytarz następnie podwórze, znowu korytarz, po obu stronach mieściły się cele, było ich razem 6. Otworzono ze zgrzytem, ciężkie okute drzwi drugiej celi na prawo. Cella numer 47. Przedwojenna pojedyńka, bo to było dawne wojskowe ziemie Zamarynow. O wymiarach nie wiem jakichś chyba 3 metry i 3 metry wysokość. W każdym razie na pojedyńkę to było zupełnie przestronna cela. Umeblowaniem były dwa żelazne łóżka przykryte siennikami i kocami. Piec żelazny mający

[00:30:00]

drzwiczki od korytarza tam się paliło. Wiadro z wodą stołeczek na chleb oraz łyżki, kubki i blaszane łyżki i parasza, czyli toaleta, kibel przykryty pokrywą. W celi były 4 kobiety 2 starsze po 50-tce. I dwie młode. Powiedziałam dzień dobry i po przyjrzeniu stwierdziłam, że to nie są kryminalistki, jak się z początku zdawało. I nie wiadomo dlaczego pierwszym moim pytaniem było czy tu dają jeść? Dają. Z rana chleb, cukier i zupę, na obiad zupa oraz kawa czarna na kolację. Wkrótce dyżurny nas wypuścił do...

Blazejewska-Kosinska_Maria_I-0040-2A

MBK: Rozpoczęły rozmowę. Stefanię Wróblową aresztowano wraz z mężem i synem za przynależność do PPS-owskiej organizacji kolejowej. Mengesowa, stołowała przed wojną policjantów i może nawet tajniaków. Marysia Piepieniowa miała męża w dwójkę i sama też tam pracowała. 20-kilkuletnią Halinę Ciulik złapano na ulicy. Dwie godziny po mnie wprowadzono Marysię Zampę, studentkę pierwszego roku, członkinię organizacji endeckiej. Wszystkiego tego nie umiałam zrozumieć. Myślałam o Andrzeju, matce, Witoldzie i dziecku, które ma się urodzić. (nz) i przeplakałam pół dnia. Powiedziałam współtowarzyszkom o dziecku. Były bardzo przejęte, a Wróblowa kazała natychmiast przestać płakać. Wieczorem chleb został całymi bochnami objadłyśmy tylko skórkę. Całą noc świeciła się w celi lampa, spaliśmy w piątkę na dwóch łóżkach. Rano próbowaliśmy stukać w sąsiednie ściany, w pustkę między cegłami. Odstukiwano, ale alfabetu nikt nie znał. Tego dnia zabrano mnie do śledczego, szło się obok dyżurki na drugie piętro, potem krętymi żelaznymi schodkami jak na wieżę baby Jagi. Strach podchodził do gardła. Byłam spokojna. Przy tłumaczu spisano personalia, a potem pytano o organizację Januszajtisa na które to pytanie nie chciałam

odpowiadać. Po godzinie odprowadzono mnie z powrotem do celi. Tego dnia wydano nam więzienną bieliznę. Koszulę i kalesony z lnianego płótna, na którym widniały pieczętki, składnica więzienna w Wiśniczu. Wtedy przyszła do celi Halina Raszplewiczowa, poderwał nasz z korytarza kobiecy krzyk, moje dziecko, moje dziecko. Otworzono sąsiednią celę i kogoś tam wprowadzono. Wówczas zorientowaliśmy się, że cela 36 jest też kobieca. Następnie numer 46 otworzono, kogoś wyprowadzono i z kolei przekręcono kluczyk z celi 47.

Rozmówca: Niech pani bardziej mówi, a nie...

MBK: Była to Raszplewiczowa, w jesiennym kapelusiki, płaszczu i wiatrówkach na nogach, z papierosem w ustach, oparła się o piec i z rozszerzonymi oczami patrzyła na nas. Titieniowa nie wytrzymała. Z oczyma utkwionymi w papieros, w więziennej koszuli i w futrze wyrzuconym podszewką do góry z roztruchaną głową wyglądała jak (nz) zsunęła się z łóżka i podeszła do nowicjuszek. Daj pani tego papierosa szepnęła ochryple i Raszplewiczowa z przerażeniem oddała jej niedopałek. Zaczęłyśmy się uśmiechać, poprosiliśmy z Haliną, żeby usiadła, przekonując ją, żeby się nie bała. Nie jesteśmy zawodowymi kryminalistkami. Mąż Raszplewiczowej, zawodowy oficer poszedł na Węgry. Ją wzięto z mieszkania od małego synka. 2-letni Zygmunt został sam w łódeczku. Co będzie gdy się obudzi. Siostra jej mieszkała przy tej samej ulicy. Więc adres siostry przekazała NKWD-ziście, który pozostał w mieszkaniu z dzieckiem. Po latach, stosunkowo niedawno, od kiedy Przekrój zaczął drukować na 10 stronie materiały takie różne, tam jest taka 10 strona, wyczytałam, że jakiś Zygmunt Raszplewicz oddał do Muzeum Wojska Polskiego jakieś pamiątki po ojcu, więc nie wiem czy to był ten Zygmunt Raszplewicz, którego NKWD-zista zaprowadził do siostry Raszplewiczowej, jeśli tak to znaczy, że wypełnili obowiązek. Tej nocy nie mogliśmy się już pomieścić na łóżkach.

[00:05:00]

Dwie spały na podłodze na kocu. Następnego ranka Wróblowa kazała mi zetrzeć podłogę i ruszać się, żeby... bo ja jestem w ciąży, kazała używać ruchu, żeby poród nie był ciężki. Po śniadaniu wezwano mnie znowu na śledztwo, oficerów było dwóch. Nie chciałam nic mówić, ale jedyną karą jaką wyznaczyli było stanie na baczność przez 5 minut, w pewnej chwili wpadł trzeci oficer, o strasznej buldogowatej twarzy i przekrwionych oczach. Januszewicza znasz krzyknął? Znam odpowiedziałam automatycznie przerażona. Generała Januszewicza widziałam raz. Zagrodzkiego znasz? Znam. A Zagrodzki to zupełnie inna parafia. To

ludowiec, kolega Witka. Więc nie wiem, wypadł z pokoju a oni nadal prowadzili śledztwo. Grożono mi konfrontacją z Witoldem. Pokazano mi kartkę pisaną rzekomo przez matkę, gdzie świetnie podrobionym pismem napisano kochana myszko, powiedz prawdę, bo ja wszystko powiedziałam. I na końcu całuję cię mocno matka. Matka w tym czasie upewniano, że jestem w domu. Następnie znalazłam się w innej sali, dużej na parterze, gdzie było mnóstwo oficerów, mówili do mnie Marusia i zakazywali ty co (nz) i namawiano, niech powiem wszystko a pójdę. Po obiedzie odprowadzono mnie do celi. W celi była już Stacha Wanat (nz) dzisiaj za granicą. Znaczy ona jest za granicą. Może wróciła do kraju, nie wiem, ale była z armią Andersa wyjechała. Była już Stacha Wanat, którą zabrano z biura, płakała myśląc o swojej matce. (nz) zostawiła mi kapuśniaku, ale był taki zimny, że po kilku przełkniętych łykach wpadł dyżurny. (nz) Kosińska, dawaj. Znow żelazne schody i pierwszy śledczy. Znow namawiany. Wreszcie powiedział, że skonfrontuje mnie z Witkiem. Weszliśmy do małej celi. Był z nami jeden oficer i tłumacz. W kącie siedział Witold, złota czupryna odbijała od wełny płaszcza. Posadzono mnie na krześle w przeciwległym krańcu pokoju. Kto to jest? Mój mąż – uśmiechnęłam się. Kto to? –zapytał Witolda. Moja żona, uśmiechnął się. Następnie odpowiedział na kilka pytań. A później poprosił o możliwość powiedzenia kilku słów, myszko, nie ma co ukrywać, wszystko wiedzą. Powiedz całą prawdę, zabieraj się. Zanim zdążyłam się ocknąć prowadzono mnie do sąsiedniego pokoju. Ostatni raz w życiu widziałam wówczas Witolda. Było to dnia 27 października 1939 roku. Wszystkie prawie łączniczki i sztabowcy byli już aresztowani i chodziły słuchy, że Januszajtis obradował w pokoju, w którym było 200 osób zaprosił, ni to tajną organizację, ni to jawną. Tam był kocioł. Jak się dowiedziałam z historii AK to kierunki drukowały historię AK. Jeszcze od ZWZ, a przed ZWZ był załączek i tam znalazłam nazwisko Januszajtisa, że Januszajtis był albo zastępcą Borucy Spiechowicza, albo Tokarzewskiego. Znane panu te nazwiska?

Rozmówca: Tak, tak.

MBK: Więc on podobno został aresztowany 29.

[00:10:00]

Czyli 3 dni po mnie, ale ja tyle powiedziałam, że znam, nic więcej nie zeznawałam i już mnie nie wołali na świadka. Wezwano mnie, ale tylko na uzupełnienie zeznań, następnie odesłano do lekarza dla stwierdzenia stanu ciąży i do celi. Towarzyszki opowiedziały mi, że gdy mnie nie było przyprowadzono do celi młodą jeszcze kobietę w jesionce i berecie. Położyła się na

podłodze i zasnęła. Na krótko przed moim powrotem ze śledztwa wśród dyżurnych wszczął się popłoch, zaczęli trzaskać drzwiami, wpadli do celi i wyprowadzili berecik. Coś mnie tknęło. Zaczęłam dopytywać o szczegóły. Istotnie z rysopisu i ubrania wszystko jest obgadane. Matka była w celi. Tylko matka była Maria Karłowna, a ja Maria Gedrychowna. Więc pomylili i byłybyśmy razem. Od dnia 27 października przestano brać mnie na przesłuchania. Wróblowa śpiewała, miała ładny głos i do łez wzruszała wszystkie. Otwórz Janku twoje okno, otwórz chatę swoją. Wieczorem za oknem szumiały samochody, wiadomo, przywieziono nowych. Olę Balszyl przywieziono 11 grudnia, prawie 3 miesiące po aresztowaniu. W gimnazjalnym starym płaszczu, uśmiechnięte, zaraz znalazła się obok mnie. Oli ojciec Karol Balszyl pochodzący z Zaolzia. Trzykrotny powstaniec śląski więziony przez Niemców i Czechów był we Lwowie polskim pastorem dzielącym zbór wspólnie z Niemcami, z pastorem hitlerowców. Był jednocześnie kapelanem wojskowym w stopniu pułkownika. NKWD pytało mnie o Karola Balszyla co to za kim był z zawodu, wahałam się co powiedzieć, oficer, czy kapelan, czy pastor? Powiedziałam ksiądz, zdziwili się, zaanonsowali i więcej nie pytali. Aresztowano go i wywieziono z paragrafu 56 podpunkt 13, przesiedlenie administracyjne. W kwietniu 1930 roku już po aresztowaniu Oli. Jednocześnie wywieziono do Kazachstanu północnego do Altajskiego kraju, do Semipałatyńska żonę z 3 córkami, gimnazjalistkami. Wiktoria Banszylowa znalazła się później z Olgą i resztą córek w armii Andersa. Pani Wiktoria była w Polsce w 1968 roku i wybaczyła mi. Powiedziała, że mąż wiedział, że go aresztują, ale nie chciał się ukrywać. Pani Wiktoria zmarła w 1971 roku w Anglii. W 1974 roku, 29 stycznia zmarła w Anglii Olga z Banszelów Rybołowiczowa. Siostry jej żyją na emigracji. O Karolu Banszylu od kwietnia 40 roku ślad zaginął. Olga miała ze sobą zielony grzebień, który mienił się w świetle. Pamiętam jak leżałyśmy obie na łóżku, patrzyłyśmy w ten grzebień, przesuwaliśmy go i wspominały Wisłę, fale, szuwary na wybrzeżu. Ogromną ulgę sprawiała nam świadomość, że istnieje świat i przyroda. Że może być słońce na świecie i woda. Razem z Olgą przyszła pani Bisant-Kozicka. Bohaterka przedwojennego procesu z Marią Dunin-Kozicką.

[00:15:00]

Obydwie były autorkami książki pod tytułem Burza ze wschodu. Bo Bisant-Kozicka była białą emigrantką a Dunin-Kozicka była Polką. I obie oskarżały się nawzajem, że jedna drugiej ściągnęła tyfus do książki. Jak był proces wszyscy się śmieli z tego. Kiedy Olga i Bisant pojawiły się w więzieniu było tu bardziej surowe niż poprzednio. Ku rozpaczycy kobietom malowano białą farbą okno. Wyniesiono jedno łóżko w zamian podrzuciwszy sienniki. Ja

grubiejaca spałam z Wróblową na łóżku, reszta na podłodze. W dzień nie wolno było pół głosem rozmawiać, nie wolno było śpiewać, nie wolno było śmiać się, nie wolno było płakać. Łyżki blaszane zamieniono na drewniane. Do łaźni prowadzono raz na 10 dni. Paznokci nie było jak obciąć. Ubranie wycierane po barłogach darło się. Nie było gdzie powiesić płaszczy, nie dawano igły i nici. Mydła marną ilość. W sąsiedniej celi któregoś dnia usłyszaliśmy ruch i krzyk wesz. Tego dnia poprowadzono wszystkie do łaźni. Ale woda była zimna, włosy polepiły się i wróciłyśmy wściekle. Raszplewiczowa gdy wracała ze śledztwa przynosiła czasem biały chleb i papierosy. Papierosami dzieliła się z Piepieniową i z ... chleb dawała mnie. Towarzyszki śmiały się ze mnie. Mówiły będzie zdrowy chłopak na tej kaszy i chlebie. Używałam najwięcej ruchu w celi. To znaczy zmywałam codziennie podłogę i spacerowałam, podczas gdy one siedziały na złożonych siennikach. 4 kroki w przód, 4 z powrotem. Od pieca do kibla. Tylko w toalecie człowiek był szczęśliwy. Chociaż coraz częściej popędzano z toalety. Myłyśmy się zimną, lodowatą wodą bo krew szybciej krążyła i nie odczuwało się potem chłodu. Piepieniową i Merkerową zabrano z początkiem listopada. Przybyła natomiast Witkowska właścicielka pensjonatu w Sławsku, oskarżona o przeprowadzanie na Węgry. Przybyła też Helenka Szopówna, 17-letnia, złapana na granicy, gdy przenosiła listy ze strony niemieckiej na radziecką. Helenka była dobrą dziewczyną i chętnie zmywała wszystkie miski po jedzeniu. Dyżurni byli różni, wielu pocziwych chłopaków, ale pies noszący skórzane rękawiczki, wyelegantowany stale wrzeszczał.

Rozmówca: Kto to był?

MBK: Pies przez nas nazwany.

Rozmówca: A to strażnik tak?

MBK: Tak.

Rozmówca: Oficer strażnik.

MBK: Tak. Najwięcej zatargów było z Haliną Ciulik, która często zachowywała się bardzo niesfornie. Chociaż obijało się to później na całej celi, zakrywała mydłem judasz. A na krzyki dyżurnego odpowiadała niezmiennie, ja ciebie nie rozumiem. Prawda że żadna z pośród nas nie rozumiała wówczas języka rosyjskiego. A to się teraz cofam jeszcze, bo przybycie Olgi i Bisant było przełomem, a ja cofam się do 21 listopada. Panował na korytarzu duży ruch. Wciąż otwierano i zamykano cele, nie rozumiałyśmy co to znaczy. Nazajutrz znów to samo. Wywołano dwie. Pod oknem stał dyżurny z paczką. Rzuciłam okiem drewniany kraciasty

welniany koc zaczęłam szlochać. Kazali być cicho i podali chustkę do otarcia łez. Odczytano spis

[00:20:00]

rzeczy, koc, flanelowa bluzka piżamowa, reformy, koszule, chustki do nosa, mydło, szczotka, proszek do zębów i welniana kamizelka Witolda. Podpisałam, weszłam do celi, wszystkie rzuciły się do oglądania rzeczy i zaczęły płakać. Rozszlochałam się głośno, w tej chwili byłam prawie pewna, że moje dziecko urodzę w więzieniu. Otulę w moją bluzkę flanelową i w sweterek w gizolda. Dziecko rośnie, trzeba było rozpruwać spódniczki. 13 grudnia nie wiem, 13 grudnia Bisant-Kozicka wtoczyła się do celi z puchową kołdrą pod pachą i z wielkim czarnym kapeluszu. Jak tyle osób może tkwić w tak małym pokoiku zawołała zaraz z pretensją. Ustąpiono jej miejsca z szacunkiem, chociaż później tak zaczęła się rozpychać, że rady sobie z nią nie mogliśmy dać. Byłyśmy bardzo agresywne, podobno kilka lat siedziała w obozie radzieckim. Opowiadała nam o małżeństwach, o pokoikach w barakach, firankach w oknach i kwiatkach. Pierwszy strach ścisnął za gardło, a jeśli nas wywiozą? Wróblowa twierdziła, że to niemożliwe, cóżby z nami zrobili mało mają swoich. Połowa grudnia, było nas w celi 12, absolutny brak miejsca, dziewczęta stały jak w beczce ze śledzi, przewracając się w nocy na ten tam. O to nieszczęsne spanie toczyły się wciąż wojny, zaczęły też coraz częściej znajdować wszy i na ten temat powstawały też sprzeczki, twierdzono ogólnie, że wszy hoduje Witkowska, ponieważ nie chce się myć i nie rozbiera się na noc. Widok świeżych policzków na (nz) przypominał, że w te dni chodzono na spacer. Nietrzepane koce, było pełno brudu. Trzeba było działać. Na propozycję Bisant-Kozickiej postanowiłyśmy urządzić głodówkę. Twierdziła, że to jest najskuteczniejsza forma walki. Dyskutowaliśmy na ten temat całą noc. Na darmo dyżurny walił w judasz. Naradzałyśmy się, to nie osłabiło zapалу. Wreszcie wszystkie postanowienia zapadły. Program był taki, rano nie wstajemy, nie bierzemy śniadania, nie dajemy się wypuścić do ubikacji tylko będziemy się odzywać do naczelnika więzienia, a co będzie dalej to się zobaczy. No i zaczęła się być codzienna jawa do ubikacji, naprzód szła fatamorgana, potem magistrat, potem chłopcy, z pobrękiwaniem (nz). Kiedy nadeszła kolej na celę 47, żadna z nas nie ruszyła się. Próżno zaglądano i szukano, dyżurny wrzeszczał i wreszcie gdy nic nie pomogło otworzył celę 46 i puścił te kobiety. Zawołano groźnego psa, z Katynia. Wrzeszczano. Nie odzywałyśmy się ani słowem. Nadeszła pora śniadaniowa. Pośmierciuchy czekali z kotłami. Żadna z nas nie ruszyła się z miską po zupę. Miski i łyżki pochowaliśmy pod łóżko, na korytarzu panował wielki ruch, cieszyliśmy się z tego i bez przerwy wzywałyśmy naczelnika więzienia. Wtedy było brudno i

duszo, śmierdziała parasol, dziewczyny nieumyte, rozczochrane, widok okropny, przyszedł naczelnik, kręcił się koło niego, jeden z oficerów, a cała grupa pomocników czekała za drzwiami. Kozicka w imieniu całej celi powiedziała po rosyjsku mowa o wszech, braku nici i mydła, braku gwoździ na ścianie, braku bani, nieobciętych paznokciach, brudnych kocach i ciężarnych (nz) smrodliwe powietrze, krzywił się z niesmakiem i od razu pozwolił otworzyć okno. Zapowiedzieliśmy, że w razie niespełnienia próśb żadnego jedzenia nie przyjmujemy, wygrałyśmy, głódówka trwała godzinę, zaraz zjawiała się siostra z nożyczkami, aby poobcinać paznokcie, dotychczas obgryzaliśmy, albo piłowaliśmy, następnie przyniesiono kilka gwoździ, na których zawisły płaszcze, wypuszczono celę do ubikacji. Godzinę potem pluskałyśmy się w gorącej łaźni, koce kazano wziąć ze sobą i na podwórzu pod oknem celi w towarzystwie dyżurnych zaczęłyśmy trzepać te brudy. Już miałyśmy wyjść na korytarz, gdy Helanka szepnęła do mnie. Popatrz na okno 46, popatrzyłam, okno było uchylone, migały tam różne twarze, patrzę matka, matka była w sąsiedniej celi. Wróciłam wzruszona, pod drzwiami powiedziałam jestem zdrowa. Od tego dnia dziwne rzeczy zaczęły się dziać w celi 47 i na całym korytarzu. Po zaspokojeniu podstawowych żądań dziewczęta ośmieliły się i rozzuchwaliły. Postanowiły przekazać alfabet więzienny innym celom. Raszplewiczowa, która miała najpiękniejszy głos miała powiedzieć, oświadczyła w korytarzu abecadło, cztery litery w pięciu rzędach. Powiedziała abecadło, żeby nie alfabet, bo alfabet to by zrozumieli i rozpoczęły się dramatyczne pukanie do kobiety z 46 i do męskiej 48. My same miałyśmy już dobry alfabet wypisywany wypaloną zapałką na pudełku od zapalek. Sąsiedzi się musieli dopiero uczyć, ale nauczyli się trochę. Cóż za radość gdy wystukali, dzień dobry. Wieczory zaczęto spędzać przy (nz) Wróblowa proklamowała fragmenty z Dziadów. A Bisant-Kozicka wróżyła z fusów i chleba. W wyniku głódówki pozwolono mi chodzić na spacer. Oddychałam pełną piersią, na podwórzu leżał śnieg. Wartownik tupał nogami przy budce. Dym unosił się nad kuchnią, to wszystko było ważne. Niebo granatowiło. Za murem brzęczały tramwaje, trąbiły auta, tam był ruch i było życie. A tutaj? Przed wigilią wybucha straszna awantura, że (nz) wywalano ją pod wieczór na korytarz, po chwili posłyszałyśmy jej wrzask, wpadła jak w furję, wpadła jak w furję, przesłano jej pierwszą paczkę, pierwszy znak życia od matki, ale kiedy dyżurny zaczął wyciągać gumkę z majtek Stacha urządziła (nz) zabrałam więc paczkę, jednakże po chwili znów została wywołana, historia powtórzyła się. Z tym że rozwścieczona dziewczyna zamalowała majtkami dyżurnego po twarzy. To już wiedziałyśmy co może być w konsekwencji, karcer. Trzeba Stachę ciepło ubrać. Już ubrałyśmy swoje różne rzeczy, a Raszplewiczowa obdarzyła ją nowymi, przypadkowo zakupionymi w więziennym sklepiku papierosami. Cóż ta matka Stasi będzie sobie

wyobrażała po zwrocie paczki. Przyszedł wigilijny wieczór. Stachę jednak wypuszczono z karceru, a dwa dni potem wydano jej paczkę z gumkami. Zaczęliśmy śpiewać kolędy, wszystkie cele po kolei. Dyżurny się wściekał, w końcu znudziło się to wszystkim. Cela siedziała osowiała, zamyślona, każda z nas w myślach była w rodzinnym domu. Nastrój w celi zaczął się straszny. Wróblowa wyraźnie zzółkła, nic nie jadła. Dziewczeta kłóciły się między sobą o miejsce do spania. Stacha dostawała napadów hysterii, to ze złością dostawała butem z pięt, to śpiewała to beczała całe dni. W nocy spadły cztery baby, a my (nz) nic nie znaleziono a tumany kurzu i słomy wały się, fruwały po całej celi. Taka przyjemność spotkała nas trzy razy w tym samym tygodniu. Z chwilą gdy było nas w celi coraz więcej nosiliśmy

[00:30:00]

się z zamiarem ponownej głodówki, ale chciałyśmy aby do tej akcji włączyły się wszystkie 6 cel. Ukradzionym ołówkiem i na ukradzonej kartce wyłuszczone o co chodzi i co wezwanie do 5 cel zostawiliśmy na piecu w ubikacji. Niestety nikt nie odpowiedział, jak dowiedziałam się później kartkę zniszczyła kobieta cela 46, ponieważ uważały, że będą nieprzyjemności. Nikt natomiast nie mógł zabronić pisanie listów na zamrożonych szybach. W ubikacjach se zostawialiśmy wycyganionych od dyżurnych zapalki (nz). Przybyły nowe towarzyszk, dwie ukraińskie nacjonalistki, przybyły z jakichś cel z góry, a więc oprócz 47 i 46 były w więzieniu jeszcze jakieś kobiece cele. Ukrainki nienawidziły Polek.

Blazejewska-Kosinska_Maria_I-0040-2B

MBK: Podczas śledztwa bito je. Pożywieniem była wówczas soczewica, brudna, niesmaczna zupa, ale na głód nikt nie narzekał. Natomiast marzłyśmy, bo cela była wilgotna i trudno było ją opalić. Na początku stycznia wezwano mnie do śledczego, dla ostatecznego podpisania zakończenia śledztwa. W toku rozmowy poprosiła (nz) aby pozwolił napisać list do służącej Józki z prośbą o paczki żywnościowe. Pozwolił. Stacha gdy ją Nowikow wezwał mówiła mu na temat ciasnoty w celi. Było nas już 14 i na temat mojej ciąży. Przecież matka była w sąsiedniej celi, niech połączą nas skoro śledztwo zakończone. 16 stycznia dyżurny wołał Kosinska zabieraj się z wieszczami. A więc odchodzę stąd. Dokąd? Może do matki, może na wolność. Zabrałam rzeczy, ucałowałam się serdecznie, wyszłam na korytarz. Dyżurny zatrzymał się przed sąsiednią celą. Otworzył, kilka par wlepionych oczu. Matka stała pod

ścianą. I prała coś w okrągłej spluwaczce. Dzień dobry powiedział. Matka podniosła głowę znad roboty, spojrzała, krzyknęła. Dyżurni zaglądali przez judasza i śmiali się widząc jak obydwie szlochałyśmy w objęciach. Na drugi dzień uczułam ruchy dziecka. Krzysztof zaczynał już żyć, ogarnęło mnie dziwnie tchórzliwe uczucie, ból rodzenia, więzienie, szarość dni, niepewność nocy, przyszłość zakryta, wszystko to było bardzo dziwne, tajemnicze i pająkowato lepkie. Ciężę znosiłam w miarę dobrze. Chodziłam na spacer, cieszyłam się względami dyżurnych. Celę zaczęto wypuszczać do ubikacji częściej, warunki zrobiły się znośniejsze. W ogóle w celi 46 warunki były lepsze niż w 47. Przede wszystkim były dwa łóżka i mniej osób, inaczej niż w celi młodzieży. Tutaj przeważały osoby starsze. Pierwsza pani Bielawska, biała emigrantka, kierowniczką ruchu rosyjskiej młodzieży we Lwowie. Stale spała w ubraniu i bez przerwy malowała twarz. Mówiła mamie nie trapiła się, miała poczucie humoru. Jaga Baczes, zwariowana 36-letnia mężatka. Chodziła zawsze w czerwonym kwiciastym szlafroku. O swoich politycznych wyczynach mówiła bardzo tajemniczo. W miarę śpiewała w miarę obudziła dyżurnych. Trzecia pani Nieduszyńska, masywna, schorowana, z opuchniętymi nogami, leżała jak kłoda. Spała odgradzona od niej plecami matki. Spałam ja, znaczy przede mną matka, a przed matką spuchnięte nogi pani Nieduszyńskiej, w końcu ją zabrano, gdzie nie wiedziałyśmy, chyba do szpitala. Majewska towarzyszka Helenki Sokówny, z 47 celi. Złapana na granicy z listami. Podobno klucznica z polskiego więzienia. Bardzo małowówna, robiła robótki i złorzeczyła dyżurnym. Piąta Jasińska Wala mówiła dobrze po rosyjsku. Szałamanowata, kłóciła się z dyżurnymi, a właściwie gdy chciał ją uderzyć, zamachnęła się stołkiem i wycofał się. Janka fryzjerka z zawodu, cicha blondyneczka. Marylka Matylewska z organizacji Januszajtisa wyćwiekowana na papiloty, dziewczę o gołęmbim sercu, z grupy łączniczek była najstarsza, miała 24 lata. Dni upływały monotonnie, rzadko kto chodził na (nz) tylko po mnie przychodzono wieczorem na spacer. A wielkim przeżyciem dla mnie i w ogóle dla celi było otrzymanie pierwszej paczki żywnościowej. Monotonnie przerywały kłótnie w celi między paniami (nz) i Nieduszyńską i proletariatem. Lelawska nigdy nikomu nie chciała użyczyć swojego kubka lub łyżki, obawiając się śmiertelnego zarażenia jakąś chorobą.

[00:05:00]

Nieduszyńska przy codziennym przeglądzie miewała wszy, lecz zamiast je dusić rzucała na towarzyszek. 1 lutego przybyły do celi nowe. (nz) Naglerowa pisarka i Hania (nz) adwokatka. Obydwie w czarnych futrach, dobrze ubrane, stanęły z nogami pod piecem i zaczęło się przedstawienie. Wszystkie beczelnie rechotałyśmy i każde streszczała swoje przestępstwa, ja

odbywam karę za zabójstwo nieślubnego dziecka. (nz) publicznie i tak dalej i tak dalej. Wierzyły z początku i słuchały przerażone. Obydwie z Martą bardzo polubiłyśmy się z Herminą i z Kazią. A Hermina Naglerowa pisarka, już romans zresztą chyba zastępcy głównego komendanta policji Zamorskiego. Ale wyjechała do Iraku z armią Andersa. Wkrótce zjawiał się w celi prokurator i powiedział, że zostaną przetransportowana do szpitala. Rzeczywiście 11 lutego przyszli do mnie. Domysły, szpital, więzienny, miejski. A może wolność. Spakowałam manatki uściśnęłam serdecznie matkę i poszłam do kancelarii. Tam oddano szalik, ale obrączki nie. Wsiadliśmy z dyżurnym do samochodu i przez otwarte, ciężkie drady Zamarstynowa ruszyliśmy w zalane słońcem ulice miasta Lwowa. Wiedziałam, tak, byłam pewna że nie idę nigdzie na wolność. Zatrzymaliśmy się na Kazimierzowskiej, przed osławionymi Brygidkami.

Rozmówca: Więzieniem tak? Brygidki.

MBK: Tak, no znany, Gorgonowa tam siedział. A więc Brygidki Lwowskie szpital. Na pierwszym piętrze ostatnia cela. Pierwszą rzeczą, która mi się już rzuciła w oczy kiedy już stanęłam na progu była ogromna kratka na oknach, podobno w przedwojennych czasach trzymano tam sowietów. A od razu obraz taki, dwa łóżka, na jednym leżała kobieta, na drugim siedziała druga kobieta. I małe łóżeczko dziecinne z niemowlęciem. To dziecko to była Brygidka, która miała dopiero jeden dzień. Urodziła się 10 lutego 40 roku. I była mała jak łyżeczka. Te dwie kobiety, matka Brygidki i druga w wysoko zaawansowanej ciąży to była Emilia Jarczy i Gołda Goldberg żydówki, które przed hitlerowcami uciekły z Zagłębia, z Sosnowca. Mąż Emi był czapnikiem, a (nz) była gorseciarką. W 6 miesiącu ciąży przeszły (nz) razem z mężami i zostały zaaresztowane za nielegalne przejście granicy, no a ponieważ były w ciąży, więc znalazły się w celi szpitalnej. To była jedyna cela matek w całym szpitalu. A w ogóle na naszym korytarzu były same męskie cele. Nie pamiętam, czy Brygidki (nz) drugie piętro? Zdaje mi się, że nie, że to było wszystko. No może jeszcze parter.

[00:10:00]

Dyżurne stosując (nz) sprowadziły mnie do jakiegoś innego pokoju, innej celi pustej i kazali mi, znaczy ja z siostrą czy ja z dyżurnym miałam (nz) no i przenieśli. Ale w ogóle ta cela była dosyć duża. Z okna jak się usiadło na taborecie pod ścianą i miało vis a vis okno widać było załamanie jakieś kamienice, balkon, na balkonie olender i ludzie trzepiący ubrania zimowe z naftaliny. To znaczy później już bo 10 lutego był mróz. Także to było takie dziwne skojarzenie wolności. Poza tym cela była czysta, podłoga umalowana na czerwono, kaloryfer

był. Palono w piecach, także Guta, która była bardzo sprytna, bo miała siedmioro rodzeństwa i pomagała matce. Guta była z nas najmądrzejsza jak się obchodzić z niemowlętami i do prania pieluszek. Z praniem pieluszek sobie poradziły tak, że zlewały kubkiem kaloryfer do wanienki i była gorąca woda nie trzeba było marnować (nz) zresztą klozety były angielskie. Dyżurni wypuszczali dwa razy, a czasem można było i na specjalne stukanie wyjść do ubikacji. Także białe puchy, biały chleb. Znowu bardzo tak jakoś dobrze. Przyszedł lekarz, przyszła położna do Brygidki. Bo Emi nazwała ją Brygidką. One były starsze ode mnie, one miały już 23 lata. Ale Emi była obojętną matką, nie wiem, może ona przechodziła szok poporodowy. Dzisiaj się orientuję, że są kobiety, które po urodzeniu dziecka mają jakieś nerwicowe zachowania. Spotkałam tak, wiem, że istnieje szok poporodowy. Więc Emi leżała na łóżku i cały czas wołała Jaku, Jakub, i w ogóle się nie interesowała dzieckiem, także ona się opiekowała Brygidką i ja ją nosiłam w poduszce, to była więzienna poduszka po... pewno po (nz) więc i to łóżeczko było więzienne. No i niestety w miarę jak dni były coraz ładniejsze to nasze ubrania było w magazynie od początku. Także chodziłyśmy w białych sukniach i białych trepach płóciennych. Ale kiedy przyszła wiosna to już o spacerze właściwie... kiedy wczesna wiosna nie było mowy, bo ubranie było w magazynie. Żyliśmy zgodnie po pewnym czasie zaczęły do mnie przychodzić paczki.

[00:15:00]

I w tych paczkach było tyle, że na nas trzy starczyło nam na 2-3 dni, było i puszek i kakao. To moja teściowa wszystko zorganizowała. Raz jeden tylko uborna była zamknięta i zaklejona. To było po tej nocy, kiedy położono na noszach jakiegoś mężczyznę pod naszymi drzwiami i wołał mamo, więc to takie straszne wrażenie na nas wywarło. Żeby nas zająć i żebyśmy były ze trzy, to dawano nam do łatania bieliznę szpitalną, więc nauczyłam się ładnie łątać, a ukradliśmy jakąś koszulę i Guta zrobiła mi gorset w rękę, kiedy już zaczęłam być bardzo gruba. W miesiąc później 10 marca urodziła się Helenka, córeczka Guty. Dziecko duże było 4-kilogramowe. Guta była wąska w miednicy, poród trwał 24 godziny w ambulatorium na dole, ale jej krzyki było słychać do nas cały czas. Wszyscy latali z takimi tajemniczymi twarzami, więc ta Guta omal nie umarła tam przy tym porodzie. Niestety był to marzec już. Przestano palić w kaloryferach, już nie mogliśmy dzieci kąpać, także buzie im myłyśmy i podmywałyśmy. Były (nz) wisiały w celi, więc na tych pradiach uczyłam się języka rosyjskiego. Bo jak żeśmy przyjechali z Torunia do Lwowa to Andrzej poszedł do powszechnej szkoły imienia św. Antoniego, a potem do szkoły Marii Konopnickiej gdzie była godzina ukraińskiego i matka moja jako rodowita Warszawianka, ojciec tak samo. Znali

dobrze język rosyjski z carskich czasów alfabet podobny, więc matka pomagała Jędrusiowi opanować alfabet i ja tak raz i drugi coś się przygruchałam, więc już wiedziałam jak wygląda Ł w rosyjskim i P i P, więc jakoś to tak wszystko sobie trochę byłam osłuchana przez konwersację i udało mi się zrozumieć całe te (nz) te punkty.

Rozmówca: Prawiła to co alfabet?

MBK: Regulamin. Potem przyszła do celi Regina, też żydówka, głowa niezdolna, włożyła ciągle do tej klatki dla wariatów, a w końcu ją zabrano, bo okazało się, że udaje ciążę. Potem przyszła pani Wanda z 4-letnim Mirkiem. Ale obojętnie odnosiła się do dziecka i w końcu ją zabrano zresztą z dzieckiem. Ona zdaje się była zresztą też z uchodźców.

[00:20:00]

Potem przyszła Jadwiga, no ta miała 32 lata i był kasjerką w kinie. Zadała się z jakimś NKWD-zistą, a jak zaszła w ciążę to ją wpakował do więzienia. No ona okropnie niehigieniczny tryb życia prowadziła, bo za skarby nie chciała zejść z łóżka i ciągle marzyła tylko i mówiła, że ona jadła czekoladę i cukierki, a tutaj w celi nie ma tych dobroci. Potem 4 maja rano. Aha była, przyszła jeszcze Maścia. Maścia była też w ciąży w 7 miesiącu. Nosila kwiciastą chusteczkę na głowie do szpitalnego stroju. Była Ukrainką i wpakowano ją za to, że jej 5-letnia córeczka powtórzyła (nz).

Rozmówca: Co to znaczy?

MBK: Ani krowy ani świni tylko Stalin na ścianę. I co ktoś doniósł i Maścię jako matkę źle wychowującą dziecko wpakowano do więzienia. Maścia ładnie śpiewała. Tam na [21:42 – po rosyjsku]. 4 maja... więc jak się zwierzyłam im, że mnie boli, to zaczęły klaskać w ręce i mówić, że to już. Że to Krzysztof się urodził. No i zawiadomiłyśmy siostrę. A już od tego czasu już byli Rosjanie. Felczer był Rosjanin. Bo tak lekarzami byli żydzi nasi i cała obsługa położna, Mira i te (nz) to były żydówki.

Rozmówca: Ale więźniarki?

MBK: Nie, wolne. Zresztą ta Nina położna była bardzo miła, bardzo dobra. A jak felczer przyszedł, to mnie zbadał to powiedział, ja jeszcze nie zdążę jutro zjeść śniadania, jak ty będziesz już jutro (nz). No więc zastukaliśmy do siostry powiedziałam, że to chyba poród będzie niedługo. Ona odpowiedziała, żeby do niej zastukać jak wody będą odchodzić. Więc ja mimo całej nieświadomości powiedziałam, że wody mogą odejść na krótko bardzo przed

porodem i nie będzie (nz). No i nie przejęła się tym, dopiero jakoś około godziny 10 wieczór sprowadzono mnie na dół do ambulatorium wzięłam koc. Nie mieli czystego prześcieradła, więc położyli koszulę męską z pieczątką zakład karny. WK, więzienie karne, bo to nasza bielizna była przecież jeszcze. No i sanitariusz zagrzał wodę na prymusie, zrobiono mi lewatywę i Nina powiedziała, że główka jest już nisko, więc ona tym czasem się prześpi tam na fotelu, a jak mnie będzie bolał krzyż to mam ją umyć. Ale nie zdążyła jeszcze tego powiedzieć, ja powiedziałam mnie boli krzyż no i bardzo

[00:25:00]

szybko Krzysztof się urodził, rzeczywiście wody było bardzo dużo a był maleńki. Na pewno nie ważył więcej jak 2 kilo. Ale silny, miał taką rączkę zdrową. Nakarmiono go herbatką, umyto, nakarmiono. Zaraz zaczął cmokać palec i zasnął. Aha jeszcze zapomniałam powiedzieć, że później zaostorzono reżim wobec kobiet z dziećmi i przeniesiono nas do sali dużej, ciemnej, gdzie pieluszki nie wysychały, trzeba było na otwarte okno je wieszać. I wpakowano nam cztery cyganki, jedna stara wiedźma (nz). Druga z dwojgiem małych dzieci, trzecia w ciąży. I to towarzystwo drapiące się to już Krzyś był na świecie. To tam Krzyś jak leżał w jednym łóżeczku z Brygidą to kaszlał w celi. Dzieci kaszlały, dzieci się przeziębiali. No ale szczęśliwie nas cofnięto do poprzedniej celi bo to było naprawdę znęcanie się. I wtedy, więc po porodzie te śmieciuchy zaniósł mnie na pierwsze piętro. Nie zmieniono mi przez 24 godziny podkładu i dostałam gorączki poporodowej. No ale bardzo szybko rozpędzono tę gorączkę lekarami. Ale była to [...] Nina bo miałam 41. A to już był maj, bo 5 maja urodził się Krzysztof o jakiejś 02:30 rano. No i tak sobie leżeliśmy potem (nz) matek na łóżku. Przy mnie kocem przykryty, a z daleka przez okna było widać czerwoną chorągiew na ratuszu. Czy jakiejś innej instytucji, w każdym razie dzień był pochmurny, wietrzysty. Później zaczął się kłopot z karmieniem, mianowicie ani Helenka (nz) przeszła zapalenie płuc, bo przestano w kaloryferach grzać, potem dostała jakieś cętki okropne na buzi, które Guta jej moczem tarła, to taki ludowy sposób ponoć, ale nie pomagało. No i przyszło jakichś dwóch do celi cywilów to podobno jeden był prokurator i coś między sobą rozmawiali po ukraińsku, czego nie zrozumiałam, tylko (nz) ja myślałam, że to znaczy matka męża, a dowiedziałam się później, że muzyk to chłopiec po ukraińsku, więc matka chłopca, coś o mnie mówili. Ale to było mniej więcej w tym czasie kiedy przyszedł 13 kwietnia, jak nadchodził 13 kwietnia, to 9 kwietnia bodajże dostałam odpis aktu oskarżenia, no i wszystkie byliśmy tam wymienione cała 8 czy 7 bo część dziewcząt od Januszajtisa to była ta nasza grupa, ale na przykład Olga

była nie w naszej grupie, tylko podczas rozprawy była wśród świadków przyprowadzonych z więzienia. No i rozprawa, że będzie 13 kwietnia, dostaje paragraf. Jestem oskarżona

[00:30:00]

z paragrafu 56 ukraińskiego, a 58 rosyjskiego punkt 4 tajna organizacja wojskowa, punkt 10 agitacja, punkt 11 propagacja, a 1 to jest (nz) to od razu się idzie pod ścianę. No ale czekałam z niecierpliwością tej rozprawy, ponieważ myślę sobie powinnam tam spotkać Witolda. Tymczasem minął 13 kwiecień i nic cisza, czekam jeszcze tydzień, dwa, trzy. Nic się nie dzieje. I podarłam ze złości ten akt oskarżenia, a podpisany Chruszczow i sędzia Czorpita. I tak następny okres był...

Blazejewska-Kosinska_Maria_I-0040-3A

MBK: Drzewo pokraczne waliło gałęziami w okno. Wstawał zimny, majowy, pochmurny dzień. Czułam już tylko wielką ulgę i spokój. Siostra zjawiała się spisać personalia. Jak na imię? Krzysztof, aha powiedziała, bo krzyż. Potem zjawił się lekarz, orzec że jest małe pęknięcie, które się zejdzie. Zabezpieczył tamponami. Guta i Emi zaraz zajęły się noworodkiem. Życzyłam sobie, żeby leżał w mojej bluzce piżamowej i sweterku Witolda, a nie więziennych koszulkach. Syn dostał herbatę od następnego dnia miał ssać pierś, ale skrzeczał i nie umiał chwycić małej brodawki. Odciąganie mleka z piersi mało pomogło. Sanitariuszka zaniedbała mnie i przez 24 godziny nie dała świeżych podkładek, 7 maja, znaczy w dwa dni po urodzeniu syna przyszedł dyżurny z paczką od teściowej. Czegóż tam nie było? Kaftaniczki, flanelowe pieluszki, przepaski, mydło, puder dziecięcy, gąbka, ręczniczek, a poza tym mleko, kakao, śmietana, ciastka, piernik, kura, czekolada, cukier. Pokwitowałam zaznaczając jest syn Krzysztof, nie wiedziałam, że Ukrainiec dyżurny nie okaże dopisku teściowej i poinformuje ją, że urodziła się córka. Emilka mnie zdała, wylała kakao przy sprzątaniu. Pieluszkę flanelową podkładałam sobie na prześcieradło, bo nie otrzymałam czystej bielizny pościelowej. Na trzeci dzień zjawił się prokurator. Zajrzał do dziecięcego łóżeczka po dziecku Gorgonowej i spytał: „Skolko jemu?”. 3 dni. Spytał czy jestem zdecydowana oddać dziecko na wychowanie teściowej, ponieważ ta stara się o to. Ze ściśniętym gardłem powiedziałam tak, bo przecież ten problem przemyślałam już sobie od kilku tygodni. Któregoś wieczoru przeniesiono nas wszystkie do ogromnej sali. Cela numer 18 miała dwa okna i była bardzo zimna. Na dodatek otrzymałyśmy 4 współtowarzyszki

cyganki (nz). Jedna z nich była w ciąży, dwie miały ze sobą troje dzieci od lat 2 do 5. Jedna wstrętna wiedźma czochrła się w swoich łachach i hodowała wszy. Po tygodniu pobytu wytransportowano tam czerebę. Została tylko cyganka w ciąży. Krzyś spał z Brygidą w łóżeczku, po kropelce Gorgonowej. Darł się po nocach i popłakiwał w dzień z głodu oraz stale chorował na biegunkę. Felczer radziecki obejrzał dziecko i orzekł, jeśli nadal nie będziecie mieć pokarmu dziecko umrze. Płakałam gorzko, ale pokarmu od tego nie przybywało. Lekarka Rosjanka kazała mi zapisać na pokarm drugi kubek herbaty. Oczywiście z tego też pokarmu nie było. W końcu przykazano więziennej kuchni że mają dokarmiać niemowlęta wszystkie. Ale w kuchni urzędowali kryminaliści to gotowali wodę z mlekiem, to mleko z wodą. Raz mleko było przypalone, kiedy indziej kwaśne, niedogotowane. Pory posiłków zmieniali sobie dowolnie, albo też przysyłali gęstą bardzo mannę, nie na żołądki niemowlęce. Pożywienie też zmieniło się na gorsze. Otrzymywałyśmy

[00:05:00]

wstrętne pochlopki, ujęto porcje mleka dla karmiących matek. Raz gdy Helenka szczególnie płakała, zdenerwowana Guta wyrznęła kubkiem w drzwi i rozbeczała się. Wpadli dyżurny, felczer, siostra i sanitariuszka. A Gołda przeklinała ich i wygrażała, aż zagrozili, że na drugi dzień pójdzie do karceru. Najobfitszy pokarm, choć rzadki miała Emi. Toteż Brygida rosła jak na drożdżach. Helenka natomiast zmizerniała, stale siusiała, nie chciała spać. Pewnego dnia Guta spróbowała swój pokarm i oświadczyła że jest bardzo gorzki. Dzieci przeziębially się, chorowały, Krzyś kaszlał i cały czas robił kupkę na zielono. Helenka miała pocętkowaną buzię, którą Guta kurowała moczem dziecinnym. Dziecko miało stale zimne nogi, więc podarowałam jej flanelowy kaftanik Krzysia. Szczęśliwie przeniesiono nas z powrotem do celi 27, ale warunki higieniczne były coraz gorsze. Pieluch nie wystarczało. Wody cieplej nie można było się doprosić. Pieluchy nigdy nie gotowane schły na okiennicach. Spacerów nie było, przestałam otrzymywać paczki żywnościowe. Pewnego wieczoru pod koniec maja przez pośmieciucha ukradkiem otrzymałam kartkę od babki. Matka pisała, że rozprawa odbyła się 11 kwietnia. Została skazana na 10 lat obozu i spodziewa się wywiezienia. Jest na celi zasądzonych w Brygidkach. Wie, że urodził się syn. Na rozprawie widziała Andrzeja i Witolda. Niech się nie martwię, chociaż wątpliwe, abyśmy się szybko zobaczyły. Płakałyśmy nad tym listem wszystkie. 11 czerwca 1940 rok. Jak zwykle wstaliśmy, zjedliśmy śniadanie i zabrałam się do prania pieluch. Krzyś jak zwykle krzyczał z głodu, wszedł dyżurny (nz) zabieraj z wieszczami. A co z dzieckiem? Z jakim dzieckiem? No z tym. Skolko? 6 tygodni. Zabieraj i jego. Gdzie? Na sąd? Da, da, da. Schwyciłam Krzysia Emilia nakarmiła go

natychmiast, a ja pobiegłam do magazynu, wzięłam Emilii sukienkę i letnie pantofle Jadwigi. Wyglądałam w tym jak nie z więzienia. Uroczyście niosąc Krzysztofa w Beciku, szłam przez podwórze do dyżurki. W dyżurce osłupiałam, za żelazną kratą zobaczyłam matkę Stachę Wanat, Marylkę Motylewską, Kazię Korczyńską, Wandzię Bober i panią dyrektor Wierzyńską. Rewizja osobista. Po rewizji wpadliśmy sobie z matką w objęcia, okazało się, że na pierwszej rozprawie zaistniały jakieś nieformalności i kiedy papiery poszły do Charkowa zwrócono je z powrotem i rozprawa odbędzie się po raz drugi. Wsiadliśmy do konwoju, do karetki więziennej. Konwojenci u drzwiczek, karetka trzasła się i podskakiwała, opowiadaliśmy sobie pobieżnie wszystkie przeżycia od dnia rozstania. Na dworze panował cudowny, wiosenny czerwcowy poranek, karetka zatrzymała się, otwarto zgrzytem drzwi i zaczęliśmy wysiadać. I teraz nie wiem czy byliśmy przed hotelem europejskim, czy byliśmy w dawnym sądzie. Nie pamiętam po prostu jaki to był gmach.

[00:10:00]

W każdym razie tłum ludzi. W pierwszym rzędzie zobaczyłam teściową Czesławę Kosińską. Krzyczała myszko to ja. Idąc uroczyście z Krzysiem na rękę, machałam do Czesławy, potem ogarnął nas mrok korytarza i weszliśmy do sali rozpraw. Wszystkie siedem zajęłyśmy ławę oskarżonych pod silnym konwojem. Na sali siedziały zmiany warty. Naczelných konwoju. Urzędnicy sądowi, wszyscy ci, którzy znali już z więzienia, a obecnie zaciekawili ich proces, no i świadkowie. A wśród świadków Ola Banszylówna, Andrzej, Rębowska Maria z mężem Janem, to wszystko świadkowie w naszej sprawie, a poza tym byli mężczyźni Poznaniacy, którzy byli kontaktami dla nas łączniczek, także cała osada była pełna. No i na estradzie sąd, prokurator, sędzia i dwaj ławnicy. Bezradnie trzymałam Krzysztofa na rękę, bo wkrótce zaczął płakać z głodu. Więc dałam mu piersi, co oczywiście niewiele pomogło. Rodziny dziewcząt stały w korytarzach, ale nie pozwolono im na widzenie. Natomiast adwokat z lampą podszedł do mnie. Przedstawił się. Jako opłacony przez teściową obrońca i na kartce notował datę urodzenia dziecka i inne szczegóły, które miał przekazać teściowi, pytałam jak to było z Krzysiem? Dziecko miało zimne nóżki, było głodne, a rozprawę (nz) na cały dzień. Po pewnym czasie zjawiła się moja teściowa. Pozwolono jej na przerwach rozmawiać ze mną. A Krzyśka wzięła z sobą. Nosila go na ulicy w słońcu, karmiła z flaszki mlekiem, a matka moja po dokładnym obejrzeniu Krzysia i wysłuchaniu mojej relacji o życiu w celu orzekła, że stanowczo trzeba go zaraz oddać, bo jest zagłodzony i nie będzie żył. Rozpoczęła się rozprawa przeczytano w języku ukraińskim akt oskarżenia, z którego wynikało, że grupa działała nielegalnie i kontrrewolucyjnie. Następnie zeznawały oskarżone. W karetku jeszcze

umawialiśmy się, że nie będziemy się do niczego przyznawać, jednakże akta śledcze już były, w ogóle cały czas są. Wydawał nam się dość dobrą zabawą. I nie mogło nam się w głowie pomieścić, że może któraś z nas odpowiadać życiem. W pierwszej rozprawie zapadł wyrok skazujący panią Marię Wirzyńską na karę śmierci. Landom twierdził od początku, że sprawa jest poważna i że nie wie jak ma nas bronić, bo z tej obrony i tak będą nici. Stacha miała adwokata z urzędu, Wandzia również. Obie nie wiedziały jeszcze wówczas, że rodziny ich już 13 kwietnia były wywiezione w głąb Związku Radzieckiego. Po moich zeznaniach sędzia spytał a tłumaczka przetłumaczyła czy oskarżona zgadza się na oddanie dziecka na wychowania swojej teściowej Czesławie Kosińskiej. Bez wahania odparłam, że się zgadzam. Natychmiast to zaprotokołowano. I w czasie rozprawy zostały sporządzone dwa egzemplarze aktu podpisanego przeze mnie i cechę. Z pieczętą okręgowego sądu lwowskiego, przekazującego Krzysia na wychowanie. Żał mi było rozstać się z dzieckiem. Pocięły łzy. Ale wiedziałam jasność, że nie może być inaczej, zbyt ciężka była rzeczywistość, zresztą umarłby. Na przerwie zdarzył się incydent. Mianowicie rodziny stojące w korytarzach.

[00:15:00]

Matka Maryli siostra Kazi i (nz) przekazały paczkę dla wszystkich. Dyżurni przetrzymali paczkę. Naczelnny konwojent, wybitny sadysta paczki nie pozwolił nam oddać. Chyba, że prokurator pozwoli. Prokurator do którego z kolei zwróciliśmy się, twierdził, że zależy to od naczelnika konwoju. Zwodzili nas i paczkę zabrano. I wówczas Stacha zrobiła wielką awanturę. Obrzuciła cały sok wyzwiskami wołając, sami chcecie paczkę zeżreć złodzieje. Ten argument trafił władzy do przekonania i oddali paczkę. Pełno było kanapek z wędliną, czekolady, cukierków, papierosów, ale my jeść nic nie byliśmy w stanie. Cechna przyniosła butelkę mleka i mleko to wspólnie wypiliśmy. Denerwowałyśmy się, choć na duchu nie upadamy. Ale ciężka zmora złych przeczuć zawisła nad salą. Cechnie wolno było rozmawiać tylko ze mną. Którakolwiek z towarzyszek, albo moja matka chciała zagadać wartownik krzyczał, że nie pozwoli na dalsze za mnie rozmowy. Po przerwie wprowadzono świadków, byli oboje Rydlowscy. Ela Jurkiewicz, Olga Banszyl, Andrzej oraz wszyscy prawie mężczyźni ze sprawy Januszajtisa, którzy mieli być sądzeni w następnej kolejności. Nie było tylko Witolda i Antoniego Wysockiego, sąd orzekł, że nie ma ich z przyczyn wiadomych sądowi. To było 13 kwietnia. To było 11 czerwca. Także 11 kwietnia Witold jak się dowiedziałam na rozprawie był. Zresztą matka mi to napisała w liście, a więc żył do kwietnia. A jak później, no zresztą jeszcze dojdę do tego, w każdym razie wszystko wskazuje na to, że ułan między 11 kwietnia a 11 czerwca 40 roku. Andrzej był chudy, bladozielony, uśmiechał

się do nas z daleka. Dzieciak w wytartym mundurku gimnazjalnym. Nastąpiły zeznania świadków. Andrzej i Olga (nz) występowali śmiało z uśmiechem, przyznając jasno, jawnie, że są i będą zawsze Polakami, gdy znów zarządzono przerwę, a świadków jeszcze nie wyprowadzono prosiliśmy o podanie im paczki, a im nie pozwolono. Więc matka wzięła trochę czekolady i poprosiła konwojenta o odprowadzenie do ubikacji, a przechodząc koło Andrzeja rzuciła mu się w ramiona i wcisnęła czekoladę. Zrobił się ruch wrzask. Potem świadków wyprowadzono i z kolei odbyły się mowy prokuratora i adwokatów. Prokurator oskarżał surowo. Najłagodniej mowa brzmiała w stosunku do mnie i Kazi Kurczyńskiej. Najostrzej wobec pani Wirzyńskiej i mojej matki. Była w tej mowie wzmianka o pańskiej polsze, oficerach, drogach ludu i tym podobne. Domagali się niejednego wyroku śmierci. Czyli następną była moja matka, bo dostała 10 lat najwyższy wyrok po Wirzyńskiej. Z adwokatów jeden Landan gadał po ludzku. Choć wiele nie mógł powiedzieć. Ale inny adwokat z urzędu ułatwił sytuację prokuratorowi i właściwie jego obrona pogrożyła oskarżony. Późnym wieczorem zapadł wyrok, panią Marią Wirzyńską jeszcze raz skazano na karę śmierci, matkę na 10 lat, próbował

[00:20:00]

Stachę na 6 lat, Marylę i Wandę po 5 lat. Kazię i mnie na 3 lata wychowawczego obozu pracy. Od wyroku można było zrobić apelację. I Landan zaraz taką apelację miał wysłać. Moja teściowa była przerażona, bo na następnej przerwie pożegnałyśmy się z nią, oddali jej koc dla Krzysia. Nie wiedziała, że macierzyństwo spadnie na nią tak nagle. Ale nie chciałam już brać niemowlęcia do celi. To było nad siły. Na drugi dzień Cecha miała przyjść po wyprawkę. A następnie zaprotokołowano, że do chwili jej wyjazdu ze Lwowa miałam codziennie karmić jeden raz dziecko. Tak zezwoliła prokuratura. Znów wychodziliśmy przez mroczne korytarze. Karetka czekała, ludzi nie było. Była chyba 8-9 wieczór. Panią Wirzyńską jako skazaną na śmierć zamknięto w osobnej klatce w karecie. Konwojent stukał do niej do drzwiczek i przeklinał, wyzywając ją od starych i wiedźm. Wróciłam, oddałam do magazynu rzeczy Eli i Jadwigi, otrzymałam swoje ubranie. Wstąpiłam do celi, żeby powiedzieć im jaki mam wyrok. 3 lata obozu i zabrać wyprawkę Krzysia. Natychmiast poprowadzono mnie na korytarz Brygidki do celi zasądzonych numer 66. W dwa dni później 13 czerwca 1930 roku widziałam po raz ostatni w więzieniu Krzysztofa. Cecha przywiozła go do karmienia. Karmienie było niepotrzebne. Na jutro był uśpiony, spuchnięty od czerwcowego słońca. Przesiedziałam z nim pół godziny. Z boku z drzwi wyszedł ktoś i patrzył. Spojrzałam sędzia Nowikow. Syn (nz) tak odparłam, nie mówił nic więcej tylko jeszcze przez chwilę patrzył. W

oczach jego czaiło się współczucie. Dziwni ludzie, skazali mnie i żalowali. A więc następny etap więzienny z celi dla zasądzonych. To była bardzo duża ceta. Było tam 15 łóżek i 30 kobiet, po 2 spaliśmy na łóżku. Był jeszcze stół, były dwie ławy i kibel za parawanem. Wielki luksus. Element w celi najróżniejszy. Oprócz nas politycznych były jeszcze dwie tylko polityczne. Ukrainki. Stefa Pastuszenko żona nauczyciela.

Rozmówca: Proszę powtórzyć nazwisko? Stefa?

MBK: Pastuszenko.

Rozmówca: Pastuszenko.

MBK: I Marusia nie pamiętam jak się nazywała, Marusia była wiejską dziewczyną. Trzymały się tylko ze sobą. Do nas zachowywały się (nz) ale to później nie przeszkadzało, że były z nami solidarne w akcji. Więc oprócz nas politycznych było kilka tych, które uchodziły ze strony niemieckiej na radziecką. Albo nie, takiej nie było. Były takie które chciały przejść granice i dostać się do Warszawy, czy w ogóle na tamtą stronę. Wśród nich pamiętam nazwisko Wiga Najzarek.

Rozmówca: Wiga Najzarek.

MBK: Tak. Zdaje się, że harcerka, ale ona za nielegalne, chęć nielegalnego przejścia przez granicę siedziała.

[00:25:00]

Była Frania Węgrzynowa.

Rozmówca: Frania Węgrzynowa.

MBK: Tak, żona Kazimierza Węgrzyna. To był kaleka, bo miał (nz) i był aplikantem adwokackim w sądzie w (nz) czy w Łucku. I tam ożenił się po prostu ze swoją służącą, bardzo inteligentną dziewczyną, bardzo ładną, Franią. I oboje ponieważ on był góralem, to chciał się dostać na Nowy Sącz, czy Nowy Targ, tam miał rodzinę. No i złapano go na granicy, rozdzielano. Ale się szczęśliwie potem spotkali. Więc Frania, Wiga, była pani Mery Sznajder.

Rozmówca: Mery Sznajder.

MBK: Tak, o niej przeczytałam kiedyś jakieś może 20 lat temu w jakiejś notatce, w jakiejś gazecie było powiedziane, że Sznajderowie są, oni byli z Warszawy w ogóle, żydzi. Ona

malarka, a on nie wiem, (nz) i że jest sławna w Kanadzie przeczytałam a więc wyjechała (nz). Oboje byli sławni w Kanadzie. Tylko, że (nz) oczywiście, prostytutki i złodziejki. No Mery przeżywała dlatego tak w celi, że była strasznie no niezdara. I jak przyszło myć podłogę to jej to bardzo trudno szło. Więc była taka Zośka Szczurek.

Rozmówca: Zośka Szczurek.

MBK: Kryminalistka. Złodziejka, która miała wtedy miotłę tą brzozową i zdzieliła Mery po głowie za to, że (nz) no więc ona się trzymała bliżej (nz) i do nas przychodziła na skargę na kryminalistki. Ale w gruncie rzeczy no współczułyśmy jej, ale i trochę nas denerwowała swoim niezdarstwem. A kryminalistki były, chodziły do pracy, (nz) i one pierwsze powiedziały mojej matce, że są koszulki z literą K. Także dlatego mama napisała, że wie, że się urodziło dziecko moje. Przynosiły cebulę, czasem się dzieliły, a w ogóle opowiadały różne rzeczy. Zośka Szczurek na przykład była specjalistką od kradzieży butów w sklepie wsadzała sobie buty pod sukienkę i tak wychodziła. Różia Kukurydza zjeżdżała po rynnie jak okradała mieszkanie.

Rozmówca: Różia Kukurydza.

MBK: Tak. Maria Tronowa no wyglądała tak troszkę podejrzenie. To mogłaby być właścicielką domu publicznego. W każdym razie dobrze z kryminalistkami się znała. A Zośka Dudek znów to prostytutka, która opowiadała nam o swoich klientach aż moja matka odciągnęła nas od tych opowieści, bo miałyśmy wtedy po 19 lat. A Zośka bardzo dumna ze swojego zawodu, ale w każdym razie nie ukradły nam nic. Ani pończoch, ani mydła, nic z tych cennieści nie ukradły. Marzena solidaryzowała się z nami, bo było tak... Były też cztery Rosjanki

[00:30:00]

za pragół tak zwany, to znaczy za bezprawne opuszczenie pracy.

Rozmówca: Progół.

MBK: Progół. Więc po prostu nie poszły do pracy i wsadzono je na 4 miesiące. I tą Werę bolały strasznie zęby. To było lato, nie mogliśmy się doprosić dalej o dentystę. Wszystko to lekceważono, więc żeśmy postanowiły zadziałać. Namówiliśmy całą celę, okna były otwarte, bo to było piętro przecież 2 czy 3, gorąco było na dworze. Więc okno szeroko otwarte, noc,

późny wieczór, 9 godzina. A my na raz, dwa, trzy krzyknęliśmy 30-osobowym chórem wracza lekarza.

Blazejewska-Kosinska_Maria_I-0040-3B

MBK: No i od tej pory zaczęła się korespondencja, już drugi... zrobił się straszny rumor, momentalnie na korytarzu. Otworzyłam drzwi od celi. W każdym razie przestraszyły się. No i powiedziałam co to jest, więc powiedziały, że jej potrzebna jest pomoc dentystyczna nie mogliśmy się doczekać, no i wtedy polityczne do karceru, czyli nas było 6, aha jeszcze Olga (nz) siedem, Wandzia osiem. Od Januszajtisa było nas 8 czy 9. No i Stefa Pastuszenko i Marusia. I jedna kryminalistka. No to była karcer bardzo ciasny, nie można było ani usiąść ani stać było trudno. Ani uklęknąć, no nic w każdym razie przetrzymali nas tak do rana. A potem poproszono nas do... do jakiegoś pokoju, gdzie był politruk. I wystąpił z przemówieniem, że tu jest dorodna pszenica ale skażona przez kąkol. A tym kąkołem jesteśmy my. No więc na tym się skończyło, a Werze rzeczywiście ją zaczęto leczyć. Chcę powiedzieć, że na sali zasądzonych spotkałam Halinę Siulik.

Rozmówca: Na sali czy w celi?

MBK: No w celi. To była duża hala. Halina Ciulik, ta która została złapana z rewolwerem nie była na Zamarstynowie, wypuścili ją, a potem drugi raz ją zamknęli.

Rozmówca: To była Ciulik?

MBK: Ciulik Halina. Więc Halina powiedziała mi, że Nisan-Kozicka jest sekretarką w sądzie.

Rozmówca: Nisan-Kosińska?

MBK: Kozicka. Ta która z nami była, ta jedyna Rosjanka, że jest sekretarką i że ona się z nią widziała i Nisan-Kozicka powiedziała, że Witold umarł na tyfus. Tylko nie powiedziała jaki. Czy plamisty czy brzuszny. Bo nic tak nie dochodziło do nas wieści, aby tyfus był w Brygidkach, albo na Zamarstynowie. W każdym razie mi tak powiedziała no i to mi się zgadza, ponieważ późniejsze poszukiwania, zarówno cechy Kosińskiej, jak Konstantego, jak moje. Nie znamy rezultatu. Nie spotkałam nikogo w tych licznych różnych wędrówkach, kto by siedział z Witkiem na Zamarstynowie. Nie spotkałam nikogo kto by mi mógł powiedzieć coś o tym. Także i nigdzie także wiadomości nie mogłam uzyskać, jak pisałam do polskiego, do międzynarodowego czerwonego krzyża. No i rodzice tam się starali także teściowie, bo

teść miał dwóch braci w Ameryce. Ten na pewno przez tych braci także. No nic, jak kamień w wodę, nikogo kto by znam. Nikogo kto by widział, nikogo kto by wiedział.

[00:05]

Tam z cel zasądzonych już wychodziłyśmy co drugi dzień na spacer, ale to było takie krążenie w kółko po cementowym podwórzu, a wtedy upał, duszno. Miałam (nz). No Marylka prowadziła tutaj prowadziła akcję oświatową, bo miała świetną pamięć do filmów, więc filmy opowiadała i kryminalistki z bardzo wielką ciekawością tego wszystkiego słuchały. Atrakcją w cudzysłowie stało się przybycie pani Heleny Czemeryńskiej.

Rozmówca: Heleny Czemeryńskiej.

MBK: Helena Czemeryńska, żona prokuratora. Ale on o NKWD nie wiedział i córka została przyłapana za chęć przejścia granicy. Nie wiem czy z mężem. I skazana była tylko na rok. Także ona akurat jak się zaczęła wojna niemiecko-radziecka powinna też. A jaką to atrakcją było, ni mniej ni więcej tylko cierpiała na rozstrój nerwowy. Dostawała jakiejś zapaści psychicznej, twierdziła, że urodzi diabła. I cały czas chodziła jęcząc i że ona urodzi diabła, no i urodziła tego diabła ekstrementy na podłodze i narobiliśmy krzyku. I zaczęła je jeść, więc cela narobiła wrzasku. Więcej interesujących zdarzeń z tego okresu nie pamiętam. A 6 września 40 roku wyczytano całą grupę Januszajtisa na podwórze do transportu. Na dworcu czekały już towarowe z okratowanymi oknami pociągi. Wsiadałyśmy kolejno, a ja powtarzałam sobie ostatnią zwrotkę. Nic jest taki wiersz Iwłakowiczówny „Jesień”. I kończy się proszę cię złota polska jesieni niech się już moje serce nie odmienia. Otwórz Janku swoje okno, otwórz chatę swoją. Śpiewała na Zamarstynowie Wróblowa. Tutaj w towarowych wagonach okna były małe. Jechaliśmy, gdzie? Dokąd? Nikt nie wiedział. Prawdopodobnie do obozów, o których wspominała nam Nisan-Kozicka. Baraki w pokoikach, w pokoikach firanki, kwiaty na oknach, przytulnie, na razie nie było przytulnie. Leżałyśmy ciasno, zbite pokotem na piętrowych narach. Od dziury klozetowej śmierdziało. Karmiono nas 3 razy dziennie pochłapkami, chlebem i śledziami, a potem za żadne skarby na to nie można było doprosić się wody. Konwojenci próżnowali z ukraińskimi młodocianymi. Gdzie im tam w głowie było nosić wiadra z wodą. Za okienkami migały pola, lasy i jakieś miasta. 11 września, a wrzesień był ciepły, miły. Dobiłyśmy do Charkowa, do więzienia rozdzielczego. Wielkie wilgotne cele. Osobne pawilony dla matek z dziećmi. Odżywiano nas dobrze. Barszczem ukraińskim z fasolą i z pomidorami oraz winegreto, czyli jarzynową sałatą.

Rozmówca: Winegret.

MBK: W Charkowie matka nabawiła się zawałiny okostnej.

[00:10]

Przez kilka dni owinięta w szalik wiła się z bólu, aż wreszcie zlitowano się nad nią i dentysta wyrwał ząb. Ale już tych wszystkich dobrości w charkowskiej turmie nie jadła, bo przez ten ząb była spuchnięta. 18 września transport ruszył w dalszą podróż. Na Uralu czerwono-brązowiały buki tak jak w lasu Węglińskim we Lwowie.

Rozmówca: W jakim lasu?

MBK: Węglińskim.

Rozmówca: Węglińskim we Lwowie.

MBK: Lwów był ponad (nz) z tej ponad 3-tygodniowej podróży na środkową Syberię pamiętam przede wszystkim to, że zaczęłam chorować na awitaminozę, a więc noga pokryła się pryszczami. Podbicie między palcami i u rąk miałam krosty. I noga tak spuchła. Lewa noga, prawa noga w podbiciu i u palców spuchła od krost. Że nie mogłam włożyć do sznurowanego trzewika. I wtedy... a tu coraz zimniej, dawno przecież opuściliśmy już słoneczną Ukrainę. Matka wymyśliła. Z worka zaimprovizowała mi prawy but. Przeżyciem była bania, łaźnia zbiorowa na postoju, na stacji Sizeran.

Rozmówca: Sizeral.

MBK: Sizrali.

Rozmówca: Sizral.

MBK: Gorące prysznice, dezynfekowana odzież, która wyglądała potem jak psu z gardła wyciągnięta, a pracownicy to mężczyźni nie rozumiejący popłochu jaki wzbudzili swoją obecnością wśród nagutkich kobiet. Golenie włosów pod pachami i na łonach. I Otomarińsk, ośrodek łagierowy, położony około 350 km na północny-wschód od Nowosybirsk.

Rozmówca: To był Marińsk.

MBK: Tak. Przybyłyśmy tu 7 października pod wieczór. Cały personel kilkunastu baraków, naczelnik, lekarz, urzędnicy byli więźniami. Przyjechałam z gorączką i od razu położono

mnie na drewnianym łóżku w miejscowym szpitaliku. Obydwie nogi pokryte brzożami, lepiące się bandaże i pluskwy, wielkie, opite. Jako ratunek na awitaminozę lekarka przepisała autohebę tak zwaną, czyli przelewany (nz) z żyły na rękę do pośladka. Skuteczniejsza pewno byłaby prawdziwa cebula, ale ani cebuli ani innych witamin tutaj nie było. I kiedy tak leżałam w tym szpitalu, a obok był pokój lekarski. Tak sobie pomyślałam i oto nagle rozgorączkowana modliłam się w duchu o muzykę, która przyniosłaby ukojenie. I oto nagle o dziwo z pokoju lekarki, ze starego gramofonu popłynęła melodia aria z opery Karmen. Gdybym tak mogła jeszcze posłuchać romansu Madira. Marzyłam.

[00:15:00]

I oto zdarzył się cud w tym nędznym szpitaliku wśród cuchnących barłogów. Gramofon zabrzmiał głosem Madira. Byłyśmy tam 7 dni. Znaczy ja przeleżałam 7 dni. Do czasu, kiedy transport został skierowany do 3 łagiernego podpunktu, ośrodka Wierchnie Cebulińskie o 50 km od Marińska.

Rozmówca: Wierchnie Trybulińskie.

MBK: Czebulińskie.

Rozmówca: Wierchnie Czebulińskie.

MBK: Tak. Od rozdzielenia mnie z matką, bo już kilka naszych już wyjechało dalej. Właśnie do Wierchni i matka była wywołana też (nz) ale dała lekarce koszulę i powiedziała, że ona po córkę. (nz) że mamy różne nazwiska. Bo to nas uratowało, że lekarka się zgodziła jeszcze mnie zostawić do następnego transportu i wtedy już pojechaliśmy. A Olga, Wanda i Marylka pojechały dalej. 14 października po wypisaniu przez szpitale z nogą nic nie było lepiej wyruszyliśmy tam grupą do Wierchni, a z ośrodka Wierchnia na piechotę kilka kilometrów do trzeciego łagiewnego podpunktu. Środkowa Syberia. Na polach nieprzejrzanym ciągnących się wokół śnieg. Sterczały główki zamrożonej kapusty. I oto obóz wysoki parkan, z trzema rzędami drutów. Z czterech stron świata, posterunki, wyszki uzbrojonych strażników. Ustawiono nas przed bramą, odliczono piątkami i brama rozwarła się. Firaneczek w oknach, kwiatków, też było przytulne. Był barak, o jednopoziomowych narach, dużych znaczy taka od ściany do ściany prycza. I parafa i to było wszystko, a za ścianą mieszkali kryminalistki rosyjskie. I to podobno tak niebezpieczne, że grały jak grały w oko czy w co to grały na przykład o swoje oczy. I to gdzieś w czyichś wspomnieniach jest, że grali o oczy. Ale tam było o mężczyznach, a tu wachter nam powiedział, że kobiety grają. Kto przegra to oczy

wyłupuje jemu. W każdym razie strzeżono nas, tamtą ekipę Polek. Był bardzo sympatyczny ten wachter.

Rozmówca: Kto był?

MBK: No...

Rozmówca: Strażnik?

MBK: No stróż. Na drzwiach była łopata. Umocnione drzwi łopata, żeby one nie wpadły, nie ukradły nam. No ich było dwóch.

[00:20:00]

Był jeszcze młody Lonia, sympatyczny chłopiec, oni byli z paragrafu kryminalnego, bo Wania zdaje się był defraudantem, agronom z wykształcenia, a Lonia był bardzo młody. No i (nz) drzwi zamykali. W ogóle pilnowali, żeby nic się Polkom nie stało, transport Polek. No ale byłam chora na te nogi. Więc mnie przeniesiono do szpitala. W jednej ziemiance był szpital. A może nawet to nie była ziemianka, może to był drewniak. I tam byliśmy tylko we dwie, ja i Marta. Marta chciała przejść do rodziny na stronę niemiecką. Ale w ogóle dostała gruźlicy i umierała w tym szpitalu. Dałam jej mój jasiek i z nią tam byliśmy we dwie. A Mania już umarła. A mnie wrzucono do baraku. Więc sympatyczny (nz) Wania był poetą, układał wiersze. I znał wiersze. Powiedział mi wiersz cały. Ja się właściwie od niego uczyłam po rosyjsku. Bo jak on cztery zwrotki zarecytował musiałam to zrozumieć, potem się nauczyłam na pamięć i ten wiersz który mi zarecytował powiedział, że nie zna, nie wie kto to ułożył, ale to jest znany wiersz i powiedziałbym go porosyjsku. (nz) w Polsce zidentyfikowałam (nz) Tuwima, nie ten wiersz. To jest wiersz Puszkina do AM.

Rozmówca: Wiersz Puszkina do AM.

MBK: Prawie nieustannie w tym zamknięciu, prawie nie wychodziłyśmy na dwór, mróz siarczasty, a ciepłego ubrania obozowego dla nas nie było. Dzień 17 października 40 roku był wielkim dla nas przeżyciem. Można było napisać listy do rodziców. Trzeba było mieć tylko papier i sklecić list w języku rosyjskim po wszystko to szło przez cenzurę ośrodka w Wierchniach Czebulińskich. Papier z matką miałyśmy. Na kopertę Wania przyniósł kawałek paczkowego papieru. Wszystko to zakleiło się mydłem kamiennym, szarym mydłem. Nie dowierzając czy w ogóle dojdzie do Białegostoku. Ale fakt że pozwolono. A Wania mnie (nz) przyniósł mi (nz) to jest piękny poemat, wspaniały.

Rozmówca: Jaki tytuł proszę powtórzyć?

MBK: Cyry. I tam jest książkę w niewoli a potem wrywa się na swobodę i ginie. Ja zacytowałam Wani urywek z tego. I smutno (nz).

[00:25:00]

I wtedy Wania powiedział tak ty już nigdy nie wrócisz do ojczyzny. A ja się oburzyłam powiedziałam wróć, wszystkie wrócimy, niech no tylko wybuchnie wojna z Niemcami. Bo od początku nie traciłyśmy ducha w więzieniu. Wierzyłyśmy, że to niemożliwe, że Hitler nie poprzestanie na tym, że pójdzie na Związek Radziecki. To przecież było jasno i widziało się tą jego zachłanność. Atrakcją była bania, prawdziwa rosyjska łaźnia, do której szło się na rozkonwojkę. Bo tak my byłyśmy taką (nz) bo nie można było wyjść poza obszar obozu, bo tam te warty na górze i tego. Ale był jeszcze cały ogromny teren rozkonwojowany, gdzie bytowe paragrafy. Znaczą niepolityczne złodzieje, mogli (nz) przywozić jedzenie i była i praca na rozkonwojce. Ale do tej bani prawdziwej rosyjskiej łaźni po ośnieżonych polach aż do drewnianego budynku pełnego pary, mioteł brzoźowych i drewnianych szatlików. Szatliki się (nz) były jak, kawałkiem szarego mydła. Sznurką obmywając głowy i grzeszne cielska. Szczególnie długo starałam się moczyć chore, pełne wrzodów nogi. Latałyśmy rozparzone z mokrymi włosami, 20 stopni mrozu, a nawet kataru żadna nie dostała. 29 listopada ogólne poruszenie, Anielka Kłok nerwowa dostała od rodziny pieniądze. Pieniądzy nie oddawano do rąk więźniom, otrzymywały tylko kwity. Ale przynajmniej był to znak, że już wieść o pobycie w tym obozie dotarła do rodziny. Jeszcze jedną książkę przeczytałam, Wania mi dostarczył. Waltera Scotta „Ryszard Lwie Serce” po rosyjsku. Zrozumiałam, 1/3 zrozumiałam, w każdym razie już zaczęłam. W każdym razie rosyjskim jestem samoukiem rozumiem wszystkie odcienie i co dziwnego nauczyłam się poznawać narodowości. Na przykład w obozie była paparka. To jej wymowa była miękka. Potem już na wolności w Kazachstanie spotkałam Niemców zsyłkowych. No to mówili po rosyjsku, ale można było poznać od razu po zdjęciu. A sama to mam (nz). Marta ze szpitala to umarła, ale przed śmiercią powiedziała mi. Podała mi imię i nazwisko swojej siostry. Żeby mi powiedziała, że ona nie żyje. Ale adresu mi siostry właściwej nie podała. Tylko wiedziałam, że ma na imię i nazywa się Jadwiga Chomska.

Rozmówca: Jadwiga Chomska.

MBK: Tak i potem jak wróciłam do Polski w Łodzi okazało się, że w PAPie pracuje Jadwiga Chomska.

[00:30:00]

Rozmówca: W PAPie, Polskiej Agencji Prasowej tak?

MBK: Tak i przekazałam wiadomość, że ona umarła na moich oczach. 12 grudnia skończył się mój pobyt w szpitaliku i tam grupę Polek przeniesiono z 3 podpunktu na 4, w odległości około 6 km.

Rozmówca: TO było 12 grudnia 40 roku?

MBK: Tak. W (nz) nazywał się.

Rozmówca: Proszę powtórzyć.

MBK: Rozewo Orłowo.

Rozmówca: Rozewo Orłowo to ten nowy punkt.

MBK: Tak. I tam właściwie po raz pierwszy zetknęliśmy się z Rosjankami. W ogóle podpunkt Rozewo Orłowo liczył znaczy były kobiety polityczne, mniej...

Blazejewska-Kosinska_Maria_I-0040-4A

MBK: Toalety, gdzie podczas kwadransu można było umyć się pod kranem zimną wodą, podmyć się, rozczesać, (nz) a właściwie bardzo mało było nawet kryminalistek. Natomiast mężczyźni to byli kryminaliści, ale to wszystko byli starzy ludzie. Znaczy możemy go nazwać kryminaliści. W każdym razie z paragrafu pospolitego, niepolitycznego, więc z Rosjanek dobrze zapamiętałam Wera Maksymowna.

Rozmówca: Wera Maksymowna.

MBK: Sonię Siergiejewną.

Rozmówca: Sonia Siergiejewna.

MBK: Lena.

Rozmówca: Lena.

MBK: Żenia. Agrypina Jakowlewna

Rozmówca: Agrypina Jakowlewna.

MBK: Wera Maksymowna to była arystokracja barakowa, nie chodziła do pracy i miała różne bardzo porządne rzeczy. A ona i Lena. Ona dostała 10 lat za męża, mąż był Włochem, który przyjechał na kontrakt do Związku Radzieckiego i coś budował. Była żoną cudzoziemca, więc jak się zaczął rok 37 to Wera z paragrafem prawda odpowiednim automatycznie mężów rozstrzelano. A żony 10 lat dostały.

Rozmówca: I tylko za to że były mężem cudzoziemca, tylko za to?

MBK: Tak, żoną.

Rozmówca: Żoną.

MBK: Żenia na przykład była żoną Chińczyka, mieszkała gdzieś na dalekim wschodzie.

Rozmówca: (nz).

MBK: Sonia Sergiejówna nie wiem, ale Agrypina Jakowlewna wiem, że nie tylko, że straciła męża i sama dostała wysoki wyrok, ale dzieci były, dwoje dzieci, o których nic nie wiedziała gdzie są i gdzie ich szukać jak wyjdzie z obozu. A to był wszystko 37 rok. Była także komunistka polska, żydówka, Jadwiga Nietubaska.

Rozmówca: Jadwiga Nietubaska.

MBK: Urodzona, znaczy zaaresztowana chyba od 37 roku. Chyba ona była z tych co przyjechały odwiedzić rodzinę. To też w 37 roku. Ona się w ogóle do nikogo nie odzywała. Nie słyszałam jej głosu, miała ogromne czarne oczy i tymi oczami wpatrywała się w nas. I czytała gazetę. Dostawała gazetę. Więc musiała być jakąś nawet funkcyjną komunistką. Także potem było jakieś 10 czy 12 dziewcząt 20-latek, Sachalin. Za kontakty z Japończykami. Jakie to były kontakty to nie wiem. W każdym razie one były bardzo sympatyczne dziewczęta i też dostały 10 lat. No i było trochę takich politycznych. Jak na przykład Hania, już nie pamiętam jej nazwiska. To z Polski ona przyjechała z nami.

[00:05:00]

Taka chuliganka trochę, zerwała afisz i dostała nie wiem 3 lata czy ile. Ale to zaoczne. Bo one procesów nie miały. Więc te Rosjanki były bardzo inteligentne i te 4 czy 5 do pracy nie

chodziły. Aha były jeszcze zakonnice dwie, omenaszki, były strasznie skąpe, suszyły chleb. Ani okruszka nie dały nikomu. Była taka chuliganka Liza Sieczka.

Rozmówca: Liza Sieczka.

MBK: Polka, a może raczej Białorusinka, która śpiewała nam na złość po mnie psy atamany, po mnie polskieje pany. No i z początku tośmy dotarły do 8 grudnia byłam w tym. Były kabioly ni to mężczyźni, ni kobiety.

Rozmówca: Kabioly?

MBK: Tak je nazwano, hemafrrodyty chyba.

Rozmówca: Tak, tak.

MBK: A na ogół w ogóle to się odnosiły do Polek z rezerwą. Dopiero z czasem ustaliły się bliższe stosunki, Stachy Wanat z Sonieczką i Leną oraz mojej matki z Żenią. Koło której leżałyśmy. Był mróz. Nie miałyśmy odzieży. Bo tak barak wychodził do pracy. O 6 rano była pobudka, brygadzystka stawiała na dachu ziemianki i krzyczała (nz) i tam mówiła jakieś tego. Potem raboczy naród ustawiał się w piątkę i szedł do pracy. Do przebierania ziemniaków, do potem do soczewice w białkach, białych. No to był taki kołchoz, na zasadzie kołchozu, z pracy, były roboty polne. No więc z początku nie chodziłyśmy, a potem dostałyśmy ubranie, to znaczy watowane pończochy i te buty takie oponowate, gumowe. I buszłaty czyli na watówce te i matkę na przykład skierowano do brygady inwalidzkiej, do parników, do ocieplarni, gdzie można było cebulę ubrać na przykład. A ja byłam do pełnosprawnych należałam. No i do przebierania kartofli to było blisko do tej ziemianki, a kartofle sadziło się dopiero w maju. Tylko, że tak sypało się udedrenie, nawozem sztucznym te kartofle później jak się wykopało były wszystkie. Trzeba było posypywać nawóz, proszek.

Rozmówca: A po co?

MBK: Żeby lepiej rosły pewno. Ale to się czuło później w smaku. Jeżeli chodzi o życie tośmy dostawały prawda dwa listki kapusty, kiepiatku.

[00:10:00]

Ale chleba na przykład miałyśmy dużo. Jak brygada wyrobiła normę to dostawała nawet 900 gram. A jak siedziałyśmy (nz) dostawałyśmy 700 gram chleba. Jak się zaczęły prace letnie to obiad dowożono na pole. To było drugie danie kasza jagłana. Znaczy bałamna ta i kasza

jaglana. Także chyba na wolności ludzie czasem mieli gorzej jeśli chodzi o chleb. No więc ja miałam bardzo dobrą brygadzystkę, Ukrainkę, ale Ukrainkę (nz). Hajduszek się nazywała.

Rozmówca: Hajduczek.

MBK: Bardzo miała dobry stosunek do mnie, bo niektóre nasze Ukrainki i takie Polki z marginesu społecznego, które nienawidziły pań to pędziły w robocie, chciały być konieczne za przewodnice i wyśmiewały, że ja nie umiem tak szybko pracować na roli jak one umiały. Okopywałam kartofle z koniem to znaczy redłowałam. Tylko wtedy było bardzo zimno, bo zimne poranki na Syberii, więc chociaż dzień ciepły w lecie, ale rano to bardzo zimno. No i te moje nieszczęsne nogi. Znowu to się odnowiło. Wigilię spędziłyśmy na narach otaczając wianuszkami imitację choinki bodajże z brzozowych patyków i śpiewając kolędy ku wielkiemu zdumieniu współtowarzyszek radzieckich. Na nowy rok czekała mnie niespodzianka. Kazia pierwsza z grupy otrzymała paczkę z domu. A w kilka dni później 7 stycznia 41 roku przebudziłam się w nocy, jeszcze była noc i w tej chwili ktoś powiedział Kosińska ja, ktoś wszedł do baraku i powiedział Kosińska Ja do bachciorki, więc ja szybko zeskoczyłam z nar. Depesza do mnie. Pismo dzięki wysłano (nz) znaczy list i pieniądze wysłane wszyscy zdrowi, syn całuje. No więc wielkie przeżycie. I odtąd zaczęła się korespondencja moja z teściową. Teściowie znali bardzo dobrze język rosyjski bo przecież z Białegostoku, moi rodzice Warszawiacy, więc te (nz) do szkoły. Wolno było pisać raz na miesiąc i raz na miesiąc dostać list.

[00:15:00]

To wszystko szło przez cenzurę Czebulińskich, no więc tu moja matka pisała dziewczętom listy. Bo list musiał być pisany po rosyjsku. Więc tutaj chciałam tylko takie wyjątki, bo listów dostałam w ogóle... Do mnie teściowie wysłali 11 listów, 5 paczek oraz kilkakrotnie pieniądze które zapisano na kwity. A tu tylko wyjątki. Listy były bardzo szczegółowo opisujące rozwój dziecka. I jak się rozwija, mówi, kiedy siedzi, w co się ubiera i kiedy chodzi. Wszystko. A u nich to tak. Kiedy byłam jeszcze we Lwowie pisze teściowa, zaniósłam go do profesora Chwalibogowskiego.

Rozmówca: Chwalibogockiego.

MBK: Który zbadał go bardzo dokładnie i orzekł, że Krzys jest zdrow i dobrze zbudowany. Doktor zapisał mu dietę na pół roku. Teraz co miesiąc chodzę z dzieckiem do lekarza i postępuję według jego przepisów. Upłynęło już z 10 miesięcy jak nie mam wieści od Witolda.

Andrzej, który dostał 10 lat znajduje się jeszcze we Lwowie. Henryk pracuje w szkole. Mój ojciec, który się przedostał pod Warszawę. Paczek z Białegostoku wysyłać nie wolno, więc (nz) aby przy pierwszej możliwości przesłać. Bądź pewna droga myszko, że jak tylko i co będzie można wyślemy ci od razu. (nz) znajduje się jak nas powiadomiło NKWD w Mikołajewie w ASRR. To bardzo dziwne, bo jest zdaje się Mikołajew nad morzem Azowskim.

Rozmówca: Azowskim?

MBK: Tak mi się zdaje. Ale AFRR autonomiczna jakaś republika. Więc tak ją poinformowało NKWD. Pisałam do niego, ale od niego nie mam na razie nic. O Andrzeju także pamiętam i pisałam do Lwowa, ale odpowiedzi także jeszcze nie otrzymałam. Pojechać do Lwowa teraz nie mogę, ponieważ nie ma z kim zostawić Krzysia. Prababcia choruje i nie wiadomo poprawi się czy nie. Droga myszko ja pamiętam o was wszystkich jednakowo i wszyscy wy jesteście mi tak drodzy jak Witold. Różnica tylko w tym, że o was wiem gdzie jesteście i jak żyjecie, a o Witoldzie niczego jeszcze nie wiem i to mnie boli. Otrzymałam list ze Lwowa od Pedowej, waszej znajomej, nigdy nie znałam tego. Pisze, że 19 stycznia podała swojemu synowi bieliznę i produkty, a że Andrzeja nie przyjęli, pewno już go wywieźli. Pisała ona, że lokatorzy, którzy zajęli wasze mieszkanie, w boże narodzenie (nz) widocznie nie umieli obchodzić się z piecem. Pedowa mieszka teraz 12 km od Lwowa. Ciężko im, ja im trochę pomagam.

Rozmówca: Perelowa.

MBK: Pedowa.

Rozmówca: Pedowa.

MBK: Ale to na wolności. O Witusiu i Jędrusiu niczego nigdzie nie mogę się dowiedzieć i to mnie bardzo męczy. Posłałam Witkowi pieniądze, przyszły z powrotem z napisem takowe (nz) z tego Mikołajewa. Sama już nie wiem gdzie mam go szukać. Mija już rok jak nic o nim nie wiem. O Jędrusiu także na razie nic nie wiadomo.

[00:20:00]

Muszę jeszcze wasz list przesłać Heniowi. On bardzo interesuje się wami. Mieszkanie składa się z trzech pokoi, kuchni, dwóch korytarzy, wanny i ubikacji. Jeden pokój zajmuje lejtnant z żoną. Mamy cudny ogród, gdzie latem Krzyś będzie mógł cały dzień spacerować z prababcią.

Że chcesz pisać do Moskwy do gułagu w sprawie chłopców może ja bym także wam napisała. Ale nie wiem co znaczy gułag. Pisałam do Kijowa, Lwowa, chodziłam do NKWD w Białymstoku, ale do tej pory nic nie wiem o nich. Jeśli więc wiecie gdzie można napisać to napiszcie nam o tym. Wysłałam już piątą paczkę na nazwisko Błażewskiej. Wysłałam przez moją pracownicę, która była u nas, także adres nadawcy będzie nie mój. Wszystko teraz jest, ale drogo. Ja nic nie kupię, tylko noszę stare. Otrzymałam wezwanie do NKWD w sprawie Jędrusia. Dlatego że pisałam i zapytywałam o niego w piśmie do Lwowa. Nic nowego nie powiedzieli, adresu nie podali, nie można. Tylko powiedzieli, że zasądzony jest na 10 lat obozu pracy, a jeśli będzie wolny to on sam do mnie napisze, więcej nic nie mogę zrobić tylko oczekiwać listu, ale ja myślę, że on do mnie napisze, ponieważ mnie mało zna i nie wiem czy on wie, że to ja mu podawałam zawsze tak jak Witusiowi bieliznę i pieniądze. Po sprawie kiedy wyjeżdżałam ze Lwowa z wielkim trudem otrzymałam zezwolenie na podanie bielizny Jędrusiowi i Witkowi, tylko 5 osób podawało. Ale dla Witka nie przyjęli ponieważ go już nie było. Wtedy przełożyłam wszystko do worka Jędrusia i on napisał swoje imię i nazwisko, że otrzymał. Także podawałam im zawsze tytoń. Uszyłam ładne woreczki na tytoń i zapalki i pieniądze też podawałam. No jakoś tak wyszło, że najmniej z was wszystkich otrzymał Witek, raz nie przyjęto dla niego paczki. W sprawie Witolda też pisałam dwa razy do Moskwy. Odpowiedziano, że na te pisma otrzymam odpowiedź ze Lwowa. Bardzo niepokoję się o Witolda, bo już więcej jak rok nie mam od niego niczego. Od Józefa Kaniaka też nie miałam listu, myślę, że już teraz trudniej z listami. Dostaliście paczkę z materiałem na sukienkę i tran, bo matka miała wtedy kurzą ślepotę. Czy dostaliście też okulary dla Marysi? Żadne okulary nie dotarły. I przysłała mi 5 książek Żeromskiego „Przedwiośnie” i „Pomyłki”, (nz) i Mickiewicza „Pana Tadeusza” i „Grażynę”, ale książek mi nie dano. Od Józefa Kaniaka z Warszawy otrzymałam 22 kwietnia list, a 1 lipca 41 roku paczkę. Ojciec pisał w paczce znajdują się twoje stare rzeczy. No i tu wymieniał. To zresztą i matka w każdym liście. Kiedy otrzymam wiadomość, że to wszystko dostaliście będę starał się wysłać wam inne rzeczy, tylko zaraz napiszcie co wam potrzeba. Ja teraz jestem nauczycielem w szkole podstawowej pod Warszawą. Uczę 12-letnie dzieci. Otrzymuję miesięcznie 260 zł. I sam z trudem mogę za te pieniądze żyć. Powiedz Marii Karłownie, żeby ona nie bolała, nie rozmyślała o Rubinie, nie tęskniła. A była zdrowa, wszystko jeszcze będzie dla was dobre, pamiętajcie o mnie, waszym bliskim. To bardzo szczęśliwe, że twój syn ma babcię i prababcię, które z troską go pilnują. I on jest dla nich jak promień słońca.

[00:25:00]

Po 50 przeszło latach trudno sobie przypomnieć wydarzenia obozowego życia. Pamięta się tylko tło z zimy obozowej, a zima na Syberii jest długa do kwietnia chyba. Zachowałam w pamięci beznadziejne (nz) oraz pracę w purdze. Purga to burza śniegowa. Świata nie było widać, kiedy odziane w watowane buszłaty, watowane czapki, rękawie, dziobałyśmy kilofami zamarznąłą ziemię.

Rozmówca: Jak się nazywa ta burza?

MBK: Purga.

Rozmówca: Purga.

MBK: Inną atrakcją była praca na rozkonwojce w ziemniakach przy przebieraniu kartofli, trudno było oprzeć się pokusie i nie ukraść ziemniaka. Ale gdzie go schować, by wieczorem ugotować kociołku, albo przypiec na blasze, albo zjeść surowy z garstką wyproszonej u którejś (nz) przy wejściu do obozu piątkami pod karabinem sztryłka, żołnierza. Na wachcie odbywała się zawsze rewizja. Żołnierze macali po kieszeniach buszłatów i spodni. Zdarzało się, że u więźniarek, także Rosjanek. Znajdowali nawet worki wypełnione soczewicą lub kartoflami ukryte na piersiach lub w kroku. Zaryzykowałam kilka razy przeniesienie ziemniaków w butach, tylko bardzo trudno było iść, bo słomą wypchane buty i te ziemniaki tak się turlały, a tu trzeba było bardzo pewnie iść i nieraz sprzątać po sobie, bo można było dostać dodatek wyroku. No i ciężkie były (nz) 16-kilogramowe wory, wypełnione kartoflami, które trzeba było przenosić na własnych plecach z ziemianek na pola. No i wspomnienie słów codziennego przed wyruszeniem do pracy ostrzeżenia strażnika. Ostrzegam w przypadku próby ucieczki, albo niepodporządkowaniu się poleceniom konwoju będzie użyta broń. Zrozumiano? Zrozumiano. Wspomnienie głodu. Chociaż znojna praca i głód wyczerpywały ludzi, przyroda radowała, co jakiś czas były brzożowe laski, a wśród tych lasków kwitły piękne, czerwone tulipany. Nie pachniały... wyglądały tak jak tulipany. Większe trochę od tulipanów. Nie miały żadnego zapachu, ale były bardzo piękne. Paczki były prawdziwym skarbem. Nie tylko dlatego, że zawierały cenne produkty, które można było wymienić u Rosjanek na chleb, chociaż ceny dyktowano (nz) ale na przykład z płótna, którym były obszyte paczki, Ela Jurkiewicz była absolwentką szkoły krawieckiej. Uszyła mnie i matce bluzki, a z materiału (nz) przez Cechnę wyszła spódnica dla matki, bura sukienka z krótkimi rękawami dla mnie. Ela zarabiała szyciem nieźle wśród Rosjanek. Pod koniec czerwca wielka melina. Gazety rzadko przychodziły do Nietubskiej, ale Lena Kreczynka powiedziała mi z wielkim zaufaniem, że wybuchła wojna z Niemcami. Już pod koniec czerwca dotarła do nas.

18 lipca 1941 roku wszystkie obywatelki polskie wywołano za bramę. Przyszedł naczelnik, odczytał pismo, z którego dowiedziałyśmy się, że 12 lipca 41 roku rząd generała Sikorskiego zawarł umowę z rządem radzieckim, że nawiązał stosunki dyplomatyczne, że na terenie Związku Radzieckiego utworzona zostanie polska armia, która będzie wspólnie z Armią Czerwoną walczyć przeciwko Niemcom. A wobec dotychczasowych więźniów zostanie zastosowana amnestia. Obywatelki polskie powiedział naczelnik wyjdą na wolność i

[00:30]

będą pomagać narodom Związku Radzieckiego walczyć z Niemcami. Teraz też idzie walka o chleb dla wojska, dlatego zanim opuścicie obóz musicie dobrze pracować i czekać cierpliwie chwil uwolnienia, więc już 18 lipca nasz obóz był poinformowany. Rosjanki nie chciały wierzyć władzom to nieprawda mówiły, nie wyjdziecie na wolność, przeniosą was do innego obozu. Jak to, to nie wierzycie własnej władzy pytałyśmy? Kilka dni później wpadła (nz) w której na pierwszej stronie wyprodukowano znamiennej fotografię, rosyjska gazeta. Byli tam różni generałowie radzieccy...

Blazejewska-Kosinska_Maria_I-0040-4B

MBK: Podczas śledztw z generałem Gundurowem przewodniczącym chyba Związku Słowian. A wśród nich specjalnie oznaczony krzyżykiem generał Januszajtis, z podpisem, że jest to polski generał działacz w Związku Słowian. A więc Januszajtis wyszedł z grupy (nz). A więc coś nowego dzieje się i zacznie się dziać. Tymczasem moje nogi znów pokryły się wrzodami. Z trudnością szłam te 9 km z obozu w polu. Z coraz większą trudnością pracowałam, bo wrzody przerzuciły się na krocze. I wreszcie 5 sierpnia znów znalazłam się w szpitalu obozowym. Przelewanie krwi nie pomagało. Tak doleżałam do 28 sierpnia. Bo nazajutrz cała grupa obywaterek polskich miała iść na wolność. Okres oczekiwania na zwolnienie chociaż był to okres, w którym władze obozowe były przychylnie ustosunkowane do Polek, ale miał swój charakterystyczny incydent, Ela Jurkiewicz i Stenia Nowakowa pojechały do karceru za to, że opowiadały Rosjankom, że w Polsce jadły czekoladę i pomarańcze. 29 sierpnia rano zajechała przed bramę obozową w podwodach konik z furką. Na tej furce Polki ułożyły swoje zawiniątka. Prowadził konia nie (nz) uzbrojony tylko cywilny, no i ja jechałam na tym wozie, bo przecież byłam tak owrzodzona, że nie mogłam zdążyć pod łokcie mnie wzięwszy wyniesiono po prostu z ziemianki na ten wóz, a przedtem

jeszcze babki rosyjskie osmarowały mi wrzody mąką z miodem i zdaje się, że to przyczyniło się rzeczywiście pęknięcia szybszego wrzodu. A więc 29 sierpnia wyszliśmy za bramę. W ośrodku centrali Wierchnie Czebulińskie pośpiesznie przygotowywano nasze dokumenty, bo każda z nas dostała (nz) i tam było zaznaczone, że jest obywatelką polską i że wszystkie władze radzieckie są proszone o pomoc. Taka była formuła, ale (nz) tylko specjalny druk i to był dokument. Dostałyśmy także po 15 rubli na 10 dni diet i z kwitami wszystkie, z kwitów pieniądze, które były i bilety kolejowe, zapytano nas, gdzie chcecie jechać, na przykład mnie i matkę, w Europie jest wojna, a wam dajemy do wyboru Omsk, Tomsk, albo Kustaraj.

Rozmówca: Kustaraj.

MBK: Kustanaj. No więc Omsk i Tomsk to nas przerażał, już w relacji powstańców wiadomo było jak tam zimno. A Kustanaj, dlatego wybraliśmy Kustanaj, że tam powiedziano nam, że dużo Polaków naszych ze zsyłki no i właśnie pojechaliśmy, Stacha jeszcze pojechała, Kazia nie.

[00:05:00]

Tylko z grupy Januszajtisa my dwie i Stacha pojechałyśmy do Kustanaju. A reszta się jakoś rozproszyła. Ela Jurkiewicz nie. Kazia Korczyńska pewnie rodzina była wywieziona i pewnie pojechałam do rodziny. No Ola Banszyl w ostatniej chwili przed wybuchem wojny niemiecko-radzieckiej dowiedziała się, że jej matka z siostrami zostały wywiezione do Semipałatyńska. Więc zostaliśmy na okres 10 dni, ciężarówkami zawieziono Polki do Marińska, 50 km od obozu. W Marińsku na stacji cuda, ciastka w bufecie. (nz) tych ciastek, chociaż były stare. No i cóż za rozkosz bez strażnika, wszystko wolno. Potem na pociąg, podróż przez Nowosybirsk i (nz) niesamowicie uciekinierami trwała 9 dni. Tu trzeba wspomnieć o Oldze i Wandzi. Z którymi spotkałyśmy się w Nowosybirsku. Tak. Ich rodziny były wywiezione 13 kwietnia ze Lwowa do Ałtajskiego Kraju. Innego rodzaju spotkaniem było spotkanie ze Stasią. Wasyl podoficer armii czerwonej, wracający z urlopu do jednostki zainteresował się moją osobą, zaopiekował się mną. Cała grupka politycznych od Januszajtisa na moje konto miała co jeść przez cały okres podróży. Wasyl zdobywał chleb i kury, a na każdym postoju biegał do punktów medycznych i przynosił lekarstwa. Z przejęciem odrywał z moich nóg lepiące się od ropy bandaże smarował płynem dezynfekującym rany, opatrzył maściami, a w nocy odstępował mi swój koc, aby nogi miały ciepło. Nieraz namawiał podczas tej podróży. Marusia jedź do kołchozu do mojej mamy i do mojego taty, a mleka ci

nie zabraknie. Tan Wasiak, pocziwy, dobry, szczerzy chłopak, czy wrócił szczęśliwy z wojny do domu, 7 września 1941 roku przybyliśmy do Kustanaj.

Rozmówca: Kustanaj do północny Kazachstan, a jakieś większe miasto w pobliżu.

MBK: No to duże miasto to własny gorod Kustanaj, w każdym razie za moich czasów wtedy w 41 roku to Kustanaj miał elewator, szpital, szkoły, czy szkołę czy stołówki. No i rzeczywiście wielbłądy jako siła pociągowa. Piachu dużo i błoto straszne na przykład, więc to chyba jeszcze ze stepu zrobione.

Rozmówca: Ze stepu, stepowe takie miasto.

MBK: Chyba tak, ale czy step na takiej dalekiej północy mógł być? Bo ziemia żyzna, bo takie że ja nóg nie mogłam wyciągnąć z błota. Wszystkie kobiety, które przybyły z Rozera Orłowa były przerażone, pieniędzy już prawie nie miały, a równocześnie przyzwyczajenie do tułaczki. Do wyglądu, że może gdzie indziej jest lepiej pchało je dalej. Głos wewnętrzny podszeptował, żeby jechać do Taszkentu. Do Taszkentu, który im zapachniał owocami i zielenią, winogronami. I kilka kulatek

[00:10:00]

tych, które miały większą ilość pieniędzy, rzeczywiście dokupiły bilety i opuściły Kustanaj. Pozostała grupa nie bardzo wiedziała co z sobą robić i najśluszniesze wydało nam się pójść do NKWD, ale NKWD zdaje się nie przejmowało się nami. Powiedzieli, że możemy nocować w ewakuopunkcie.

Rozmówca: Ewakuopunkcie.

MBK: Tak, w punkcie ewakuacyjnym. No i w ogóle nie interesowali się nami, punkt ewakuacyjny był w szkole w dużych dwóch salach. Przede wszystkim było tam masę ludzi z Ukrainy, żydów bardzo dużo. I to ze swoim dobytkiem, ale ten ewakuacyjny punkt to była rozpacz. To znów obijanie się w wielkiej gromadzie, wszy, niepewność jutra, brud i głód. Sale były umeblowane łóżkami i za różną protekcją te łóżka zajmowano. Dla byłych więźniów wystarczyły miejsca na deskach podłogi, resztki pieniędzy szwędały się po kieszeniach matki, resztki chleba zjadano z woreczków. Nocą sala ewakuopunktu była ciemna jak trumna, w której zamurowano żywych ludzi. Rankiem świszczały pyrmusy, dzwoniły czajniki, szwargotali mężczyźni. Kłóciły się między sobą kobiety, płakały dzieci. (nz) ogryzki ogórków walały się z konta w kont. Z punktu ewakuacyjnego jak z cyrku

warszawskiego wylaziły różne typy, ludzie mający jeszcze co jeść. Ale rozpróżnieni becznym życiem i już zdemoralizowani 3 miesiącami wojny. Pierwsze dni, matka, ja i Stacha Wanat spędziłyśmy na poszukiwaniu pracy. To znaczy, że dzień rozpoczynał się ranną kąpielą w rzece i praniem łachów. Potem trzeba było wyjść na rynek i kupić trochę zieleniny. Następnie rozlatywałyśmy się w różne strony, by spotkać się na obiedzie w stołówce i zjeść w niepokoju ducha porcję kaszy jaglanej. Po południu odbywały się ogólne łagierne randes vou na trotuarze głównej ulicy. Można było pooglądać co noszą i co jeszcze mają z odzieży Polacy. Ogarnął nas podziw. Ci (nz) to byli bogacze. Córki krawca lwowskiego nosiły jedwabne w kwiaty sukienki, a żona jego reprezentowała sobą wzór elegancji.

Rozmówca: A jak oni się nazywali, jakie było nazwisko?

MBK: Czermakowie. Po rozpoczętej rozmowie pani Czermakowa zaproponowała jeden nocleg u siebie, poza tym wiedziała cośkolwiek o tak zwanych posadach i obiecała takowe nastreścić. Z ewakuacyjnego punktu gwałtem nas wyrzucono. Na czwarty dzień łazikowania matka znalazła pracę w miejscowym elewatorze, polegającą na noszeniu i podnoszeniu worków z pszenicą, pracę płatną 4 ruble dziennie. Najważniejsze było jednak to iż doszło do porozumienia z nocną stróżką elewatora, Białorusinką Tasią i ta zaprosiła nas do swego domku. Na noc odstępowała nam łóżko, a na dzień mieszkanie, tanio. Zdaje się, że 15 rubli chciała za to wynajęcie. Wrześniowy późny wieczór tragałyśmy swoje małe tłomoczki bagienne, a na dowód rozpoczęcia burżuazyjnego życia wypiliśmy po pół litra mleka prosto od krowy. Domek Stasi stał na końcu miasta, niedaleko stacji. Wśród innych podobnych, parterowych domków. Najważniejsze, że był tu piec, ogrzewany kiziakiem tak zwanym, to znaczy po prostu plackami krowimi i że było łóżko z prawdziwym

[00:15:00]

materacem, tak jak w starym filmie. W dzień królowała na łóżku Tasia, a w nocy, gdy Tasia szła na nocną służbę pilnowania elewatora matka ze mną. Poza tym Tasia miała dużą blaszaną miskę, gdzie po naniesieniu wody z miejscowej studni można było umyć grzeszne ciało z czyrakami włącznie. Matka już pracowała 3 dni w elewatorze, zanim mnie udało się znaleźć pracę. W poszukiwaniu pracy trzymałam się Stachy, gdyż ta miała więcej swędu leniuchowskiego i za byle co nie chciała się sprzedać. Żydzi polscy z miejscowej makaroniarni powiedzieli, że brakuje sił roboczych do sezonowej pracy przy zasolaniu ogórków, pomidorów i (nz). Odważnie więc stanęłyśmy przed przewodniczącą karceru (nz). Przewodnicząca kobieta ewakuowana z Kijowa uświadomiła nas, że praca trwa od 8 rano do

17 wieczór z przerwą godzinną na obiad, a płaca wynosi 8 rubli dziennie. Do pracy mogą przystępować zaraz, a główne zadanie to nagotować wody i wyparzyć duże beczki tak zwane czamy na ogórki. Nie byłam pewna czy potrafię zagotować wody, w tym kotły. Dwa kotły wody, gdyż (nz) nie paliłam w tak wielkim piecu, ale jakoś poszło. Z makaronami nakradliśmy węgla i rozpalili piec, mieścił się on w przestronnej piwnicy gdzie także wyrabiano kwas chlebowy. Staruszek wyrabiający kwas był bardzo miłym dziadkiem. Opuszczał na chwilę piwnicę, obydwie pracownice zajadały się sucharami prosto z beczki, a także spenetrowały gdzie jest gotowy kwas i wypily cały litr. Kiedy przyszła pora obiadowa można było kupić po kilogramie chleba (nz) 90 kopiejek. I kilogram pomidorów w cenie 80 kopiejek. Po obiedzie obydwie próbowały wyszorować beczkę na kiszenie ogórków. Stacha wlała do (nz) a bosa i brudne pięty sterczały z czeluści. I chociaż miałam wątpliwości co do higieny, okazało się, że to nic nie szkodzi i nikt nie zwracał na to uwagi. Tak minął pierwszy dzień roboczy, zupełnie sycie, bez poganiania nikt nie interesował się rezultatem pracy, także Stacha stwierdziła, że jest w tym jakieś oszustwo i obiecanych 8 rubli nie dostaniemy. Ale grunt, że byliśmy syci, a chleb i pomidory można było zanieść do... wszystkie Polki były łagiernice urządziły się podobnie. Część z nich znalazła się w tej samej firmie co ja, część pracowała w ogrodach miejskich. Matka chodziła do pracy na dwie zmiany. Cały czas wyrzucała pszenicę z ciężarówek. A w końcu gdy kazano jej nosić worki ze zbożem do czego nie miała sił, zwolniła się z wielkim wrzaskiem ze strony zarządu. Tymczasem dochodziły słuchy o formującej się armii. Polki zamieszkałe w Kustonaju te z wolnej zsyłki wyprzedawały kołdry ubranie i jechały do Buzułuku, pod Orenburg. Gdzie tworzyła się armia Andersa. Grono takich trzech pań z czystej sympatii do matki obdarowało ją 42 numerem półbucików męskich bo jej obuwie z obozu było w stanie opłakanym. Matka zgodziła się do pralni za 4 ruble dziennie i wytrwale prała bieliznę po rannych. Raniła nogi bucikami. Przeciągi męczyły ją, ręce drętwiały od pracowitego tarcia bielizny. W tym czasie ja i Stacha myliły beczki, soliły ogórki, przebierały pomidory i zajadały się kabanami. Zasada obowiązywała taka, jedz na miejscu tyle ile chcesz, byleś nie kradł. Potem Stacha przeniosła się do pralni, a następnie po poznaniu jakiegoś podchorążego, który przyjechał z armii po rodzinę wyjechała z nim do Buzułuku. To właśnie tam gdzie się tworzyła armia, na granicy Europy i Azji.

[00:20:00]

Z końcem września praca przy zasolaniu stała się naprawdę ciężka. Siąpiły deszcze, a trzeba było nosić wodę ze studni do beczek stojących w zimnej piwnicy. Sól żarła ręce zimne.

Pomidory mroziły palce. Żołądek był przeładowany gliniastym chlebem i zielenizną. Matka uszyła mi fartuch z worka, aby nie niszczyć płaszcza. Wsadzam cebulę z marchwią z magazynu i piwnicy, tak jak to robiły wszystkie. Później część dziewcząt poszukiwała już stałej pracy na zimę i rzeczywiście niektóre dostały się do piekarni akrylowej. Ciężko tam pracowały, ale przynajmniej chleba było pod dostatkiem, a w chłodne dni zapewnione miejsce pod piecem. Październik przynosił nowe zmiany w życiu miejscowej polonii. Przede wszystkim z chwilą ogłoszenia amnestii Polacy rozrzućeni po kołchozach zaczęli ściągać do wojewódzkiego miasta. Bazar zaludnił się Polakami wyprzedającymi suknie, kołdry, buty. Mężczyźni niektórzy powracali z obozu do rodzin, będących na zsyłce. Całe masy były w łagierniku w kufajkach i w gumowych butach, przechodziły przez dworzec kustonański, coraz nowe pociągi i transporty wypływały dotychczasowych niewolników, a życie brało ich w swe ramiona. Znajdowali prace robotników i znów żyli z dnia na dzień w łachach i brudzie czekając mobilizacji do zapowiedzianej akcji. Obojętnie słuchano wzajemnie swoich zwierzeń. Bo każdy prawie miał to samo do powiedzenia, z jednakowym marszem głodowym w (nz) szli do roboty. Jednakowo ociężale pracowali i z goryczą w sercu, a niezaspokojoną tęsknotą życia domowego włączyli się pod wieczór po ulicach miasta. U Tasi paliło się tylko kiziakiem i kiziak ten trzeba było zbierać póki sucho na stepie za miastem, ale przecież spaliśmy jeszcze komfortowo w łóżku i usilnie staraliśmy się mieć niezawieszoną bieliznę i całe pończochy. W pierwszych tygodniach października 41 przyjechała polska komisja. Wszyscy Polacy z całego Kustanaju i okolicy oblegli jedyny miasteczkowy hotel gdzie na drugim piętrze urzędowała komisja. W skład jej wchodził pan G. podtatusiały pan. Drugi pan szczuplejszy oraz młodziutki, może 17-letni kadecik, który we wszystkich trzech miejscowych stołówkach robił furorę swoim mundurem. Komisja dość długo jadła śniadanie i kazała na siebie czekać. Następnie drzwi lokalu otworzyły się i przynajmniej 20 osób wpakowało się do wnętrza, komisja rozpoczęła audyencję. Już jakaś Polka dosyć dobrze ubrana (nz) a komisja objaśniała łaskawie swoje przybycie. Swoje porozumienie z władzami Kustanaju i wysłuchiwała częściowo żalu rodaków. Zapowiedziano mobilizację i wyjazd ludności cywilnej do armii, inne sprawy ulegały odłożeniu do czasu wyszukania odpowiedniego lokalu dla władzy. Audyencja skończyła się po dwóch godzinach, ale nie dodała nam zbyt wielkiej otuchy. Chociaż należeliśmy do osób dość optymistycznie patrzących na świat. Po pewnym czasie komisja urzędowała już w trzech pokojach wraz z dwiema sekretarkami, a na bramie widniał orzeł z tabliczką polska placówka. Widok orła wzbudzał radosne ściskanie gardeł u rodaków, natomiast lakoniczne odpowiedzi sekretarek, oraz nieuchwytnie z samej komisji oraz ograniczoność godzin urzędowania nie wywoływały

zachwytu, ale rodacy godzili się z tym dobrodusznie i wystawiali po przyjeździe 100 km z okolicznych kolchozów na podwórzu. Na nas obydwu komisja robiła wrażenie nieprzejmowania się zbytnio losem naszym, nie wyglądali na ludzi oddanych idei. W międzyczasie bazar wypełniał się coraz gęściej Polakami sprzedającymi ostatnie łachy. A miejscowe mieszkanka zagęszczali też rodacy. Kto miał pieniądze już wyjechał do Buzułku.

[00:25:00]

Inni oczekiwali transportu, matka i ja przemyśliwaliśmy nad problemami. Sprzedania cegocokolwiek, żeby zwiększyć swój kapitał. B) Wydobyć (nz) jakiegokolwiek zaliczki. C) wyjazdem do Anglii. Po kilku tygodniach pracy zrezygnowałam z dalszego trudem się bez korzyści materialnych. Nogę dolegały mi bardzo. Kawałek kratkowanego materiału przeznaczonego na bluzkę dla matki przysłany jeszcze z Polski został uroczyście zamieniony na szeleszczącą sumę 40 rubli. Prawda, że był to początek wojny i ceny nie były jeszcze wysokie. Kilogram kartofli kosztował dwa ruble, litr mleka 4 ruble, ale żyliśmy ciągle oszczędzając, bo przecież trzeba było zebrać jakąś sumę na buty dla matki. Matka miała swoją zniszczoną lwowską jesionkę, a jej watówka łagiewna wyglądała jak jeden czarny, potworny plaster na plecach i piersiach. Przecież żyliśmy ciągle myślą o transporcie o wyjeździe do Anglii. Przyszedł okres kilku dni mojego bezrobocia. W Krasnym Piszczeliku roboty nie było już, praca sezonowa kończyła się. Kustoniaj zaludniał się ewakuantami. Przed sklepami z chlebem i mydłem tworzyły się nieskończenie długie kolejki. Włóczyłam się po mieście, nie było dla mnie pracy ani w przedszkolu, ani żłobku, ani w szpitalu. Dowiedziałam się, że z biednych miejscowych stołówek będzie zasolanie ogórków i pomidorów. Gruby o sympatycznej gębie administrator spojrzał na mnie krytycznie w świetle naftowej lampy i odparł, że tylko dwoje ludzi mu potrzeba. A właśnie tacy się już zgłosili. Rzeczywiście dwaj mężczyźni stali w piwnicy i niechętnie słuchali moich prośb. Ale mną targała rozpacz, niezapłacone mieszkanie, korzystanie z porcji chleba matki, beznadzieja bezrobocia. Zaczęłam prosić i administrator wzruszył się. Zgodził się przyjąć mnie do pracy. Z płacą 7 rubli dziennie i planem jedzenia w stołówce za 50 % ceny. Nazajutrz z rana już przebierałam zimne pomidory w piwnicy stołówki. Obok pracował (nz) towarzysz. Drugi nie zgłosił się, pracowaliśmy zgodnie. Okazało się, że jeden mówi (nz) nie potrzebujemy, bo jednakową więzienną mieliśmy przeszłość, z tą tylko różnicą, że on był zawsze obywatelem radzieckim i w więzieniu kustanajskim zakończył odsiadanie krótkoterminowego wyroku za pospolitą kradzież. Instynkt złodziejski towarzysza udzielił się mnie i obydwój zaczęliśmy penetrować po piwnicach, szczególnie ciekawiły nas blaszanki, podobne do tych, takie są jak właściwie

do mleka, ale nie wiadomo było co zawierają. A kiedy odemknęliśmy wieko podstawiałam półlitrowy garnuszek przeznaczony na zabranie obiadu dla matki. Zachłystaliśmy się z zachwytem, to było najcudowniejsze przegotowane z cukrem mleko. Gęste, słodowe, używane w solówce do białej kawy. Po wypiciu do spółki jednego litra poczuliśmy wielkie osłabienie, napęczniałe żołądki uciskały kiszki, chciało się spać, z pogardą patrzyliśmy na kisą surową zielen pomidorów. Po obiedzie Ukrainiec musiał iść meldować się na milicję, zostałam sama na dworze, taszcząc wodę i płucząc ogórki. Pracowałam żywo, chętnie, łakomie myśląc o możliwościach jutro i pojutrze wypijania słodkiego mleka. Administrator przyglądał mi się pilnie. A po chwili kazał iść do kancelarii, gdzie wraz z kierowniczką kuchni Pauliną Jakowlewną ustalono, że już więcej nie będę myć ogórków. A włożę biały fartuch, umyję ręce i będę usługiwać w stołówce jako kelnerka. Ucieszyłam się, pamiętam jak kiedyś w uniwersyteckim bratniaku podawałam do stołu kolegom. Bardzo mi to łatwo szło i można było szybko jak ptak przebiegać sama, ale obecnie była to stołówka z zatłoczoną międzynarodową klientelą. Stołówka bez zapasów żywnościowych w kuchni. A Rosjanki, kelnerki, które tu pracowały były przebiegłe. Do tego wszystkiego nogi dawały się silnie we znaki. Gdy wróciłam po 8 z pracy matka zaniepokoiła się. Ale później zapanowało w naszym domku ożywienie, Tasza prorokowała mi świetną przyszłość, wszak mogłam jeść w stołówce. Pracować w ciepłym pomieszczeniu. Może dla matki znajdzie się też tam miejsce w kuchni. Uśmiechałam się. Przecież zima powinna nas już zastać (nz). Nazajutrz przed 6 godziną trzeba było meldować się u Pauliny... Dzień zaczynał się od sprzątania stołówki, stawiania solniczek, przygotowywania chleba. Wydzielono rejony stolików i (nz) do południa. Do przerwy obiadowej byłam porządnie zmęczona, przerwa trwała godzinę ale wówczas zapędzono mnie do zmywania cerat na stole.

Blazejewska-Kosinska_Maria_I-0040-5A

MBK: Zmęczona połknęłam szybko kaszę z gulaszem i kromką chleba, a po obiedzie bieganina rozpoczęła się na nowo. Tego dnia wróciłam dopiero po zamknięciu stołówki o godzinie 12 w nocy. Matka była bardzo zaniepokojona. I w końcu postanowiłyśmy ponieważ praca trwała od 6 rano do 12 w nocy z godzinną przerwą na obiad postanowiłyśmy, to znaczy ja postanowiłam, że nie będę nocować w domu, żeby matki nie niepokoić. Miasto było ciemne, błoto. Nogi wyciągać z tego błota. I przeniosłam się do kantoru.

Rozmówca: A miasto było spokojne w tym czasie?

MBK: Tak. Wzięłam po prostu koc i wzięłam mój wełniany płaszcz. Płaszczem się przykrywałam, na kocu leżałam. Na stole w kantorze, razem z Katią starą. Pomywaczką.

Rozmówca: Katią?

MBK: Katią. Katia była bardzo dobra, jak przybiegałam po dania do okienka to podsuwała mi resztki z talerzy, których nie zjedli goście, a wtedy jak zwierzę porywałam to i jadłam. Staralam się być solidną kelnerką, ale to nie było łatwe. Tłumy przychodziły do stołówek i ci północni Kazacy, już się ubierali po europejsku i walili widelcami w talerze, krzyczeli, no słowem zrobili takie zamieszanie, także oddychałam wtedy, kiedy klientami byli Polacy. Ci zachowywali się spokojnie. Ewakuanci tłoczyli się z menażkami i kartkami chlebowymi przed bufetem. Zaglądali do korytarza kelnerek. Żydówki wrzeszczały, trzęsły mi się ręce przy krojeniu chleba. Tu nie ma 400 gramów, podniosła wrzask któraś. Dostałam wypieków, nigdy przez myśl mi nie przeszło okradać ewakuantów z chleba. Tym bardziej, że mogą w bufecie nabrać po rządowej cenie ile chciał. Ze złością wrzuciłam chleb na wagę porcja przeważała 5 gramów. Mała to jednak była satysfakcja, bo już od stolików podnosił się ogromny rwetes głodnych Kazachów. Wszyscy chcieli jeść, tłoczyłam się przy okienku kuchennym razem z Marusią i Tamarą, ja jeszcze nie miałam etatu kelnerki. Tylko trzecia kelnerka pojechała zbierać pszenicę. Bo pszenica pomarniała z braku ludzi, więc ja ją zastępowałam. Ale Tamara i Marusia były sprytne. Umawiały się tam przy okienku szybciej, także nim ja dostałam zupę musiałam trochę czekać. Ale uważałam też, żeby waga chleba zgadzała się co do okruszyny, to też na rozwałę rozchodziło dużo. I stale dopłacałam z własnej kieszeni po 2-3 ruble bufetowej. Ale nauczyłam się w szybkim tempie przebiegać z piramidą czterech wypełnionych zupą talerzy. Biegałam mimo piekielnego bólu nóg. Bo czyraki przysychały do bandaży. Pończochy przybierały do ran, aż wreszcie matka czuła i kochająca uszyła z worków mi pantofelki, lekkie jak piórko. Choć Paulina Jakowlewna wymagała aby pracować w obuwii. Paulina Jakowlewna mogła tak mówić bo przyjechała do Kustanaju z całą masą waliz, a jej wystrojona córka objadała się w kuchni. Przychodził wieczór, w mocno zadymionej sali.

[00:05:00]

Gwar głosów mieszał się z szumem wiatru i deszczu, wojskowi pili na umór i awanturowali się, że nie dość szybko podają im piwo. Ta praca 18-godzinna była ponad siły. Niedziela nie przynosiła ulgi, bo wychodne przysługiwało tylko jednej kelnerce. Poza tym Marusia i Tamara były matkami drobnych dzieci. Także ja, nowa musiałam poczekać na wolny dzień.

Niedziela rozbrzmiewała wrzaskami głodnego tłumu. Trzeba było zwijać się dwa razy szybciej, wtedy czułam się po stokroć nieszczęśliwa. Przestach o nieutrącenie pracy pchał na przód z piramidami talerzy, ale nie umiałam zapanować nad zdenerwowanym i upokorzeniem doznawanym od stolikowych gości. Nocą w brudnej stołówkowej kuchni urzędował stróż i szczury. Stróż był (nz) Polakiem, mimo długoletniego pobytu w Rosji, mówił zadziwiająco czystą polszczyzną, był kiedyś nauczycielem. Miał wyższe wykształcenie. Krzepko jeszcze rąbał drzewo na podwórzu i nosił wodę. Łagodnie uśmiechał się do mnie i opowiadał, że przed wojną w stołówce sprzedawano tylko kompot z dzikich owoców i herbatę bez cukru, no bo to dopiero były zaludniane tereny. A szczury wylażyły spod zlewu i ławki. Coraz częściej krążyły po Kustanaju wieści o wyjeździe do Anglii. Cichaczem mówiono sobie, że szykuje się transport i że załatwia te sprawy komisja polska. Matka poszła do komisji. Objaśniano ją mętnie, zapisano, obiecano dać znać. Poza tym komisja kierowała do pracy w rodzaju szycia worków w elewatorze. Chociaż taką pracę można było otrzymać i bez tak wysokiej protekcji. Kiedy matka wybrała się ponownie do nich. Było już po 5. Skończyła właśnie pranie w szpitalu i leciała w tych za dużych butach. Ale godziny urzędowania były tylko do 17. Sekretarka odparła, że tam już nie urzęduje. Jak to? Przecież ja z pracy idę, nie mogę wcześniej tłumaczyć matka. Pan G. zjawił się bardzo roztrwożony i wrzasnął godziny urzędowania skończone, zamknąć już ten bałagan. Jednakże zastępca jakoś łaskawie zakończył rozmowę z matką. Podczas gdy inni interesanci musieli opuścić progi niegościnnego lokalu, życie w pralni stawało się nie do zniesienia, matka pożegnała się z kierowniczką, mimo jej gróźb, że odda matkę pod sąd za samowolne porzucenie pracy. A administrator stołówki zgodził się przyjąć ją do szatkowania kapusty. Przyjął także jeszcze dwóch Polaków i maglowali się w piwnicach i na dworze, lekko ubrani, przemarznięci. Administrator zapowiedział, że w zimę będzie mogła pracować w kuchni. A więc zmora zimna i (nz) odpadła, ale przecież chodziło o wyjazd o armię. O odetchnięcie polskim powietrzem. Rano radio nadawało komunikaty z frontu. Na froncie źle się działo. Nadeszła wreszcie taka chwila gdy sprawa wyjazdu przyoblekła realny kształt. Matka szeleściła prawdziwą sturubłówką w kieszeni. Ja wyklócałam się w każdym pischelyku i banku który nie miał pieniędzy na wypłatę. Administrator stołówki wspaniałomyślnie obliczył mi wypłatę za 10 dni męki po 18 godzin na dobę, po 7 rubli za 8 godzin. Wypadło 144 ruble, z czego odtrącono 24 ruble na pomoc dla czerwonej armii. 20 rubli za łyżki, które pokradli kulturalniejsi z gości także 100-rubłówka w ręku była. Poza tym administrator sprzedał trochę kiełbasy baraniej po urzędowej cenie. Rozstaliśmy się serdecznie. Na zakończenie jakoby wyzwolony z pracy człowiek popijałam kawę przy stoliku a Marusia usługiwała mnie. Przy

stoliku siedziała jakaś para. Niewysoki mężczyzna o inteligentnej twarzy i kobieta ubrana na czarno.

[00:10:00]

Znałam z widzenia mężczyznę. Nawiązaliśmy rozmowy i potem przeżywałam największe wzruszenie, oto literat Teodor Barnicki siedział z Andrzejem na Zamarstynowie, przeżywali razem niedole więzienną. Rozmowa popłynęła szybko. No i tak oto porzucaliśmy miasto Kustonaje, rozpoczynaliśmy drugi rozdział swego życia na wolności. Tymczasem ruszałyśmy ze 100 rublami gotówką. 3 bochenkami chleba i kawałkiem kielbasy. Stasia pomagała dźwigać chleb i tłumoczki do stacji i całowała się z nami serdecznie. Na dworcu kustonajskim zebrało się dość dziwnie skompletowane towarzystwo. Kilkanaście pań dość dobrze ubranych. Obstawionych walizami. Grupa oberwańców w łagiewnych kufajkach. Kilkunastu mężczyzn pracujących dotychczas na posadach schyłkowych. Kilku wyrostków, ochotników i dzieci. Cały ten polski świątek z kołchozów, więzień i obozów pracy wyruszał na nowe życie by uszczęśliwić swoimi osobami armię i pomóc jej być Niemców. Niektóre panie były umalowane jak za dobrych czasów. Zjawiły się pani Margarita i Wandzia Kaweckie, znajome z dawnych przedwojennych czasów. Pułkownikowa Kawecka, zawsze żywa i obrotna, rzuciły się nam w objęcia, naopowiadały mnóstwo nowin.

Rozmówca: Nazywały się Kawecka

MBK: Kawecka. Jej mąż jeszcze w armii austriackiej był pułkownikiem. Transport czekał, ustawiono nas w ogonkach do drzwi wagonów i ściskając ruble w dłoniach, przekładając chleb z plecaka do torebek, rozpościerając manatki na ławce, wszyscy z bijącym sercem, z wdzięcznością dla polskiej duszy. A ostatnim przekleństwem rzuconym w stronę Kustonaju. Ruszyli w nową drogę. Nikt niczego nie żałował. Bo żałować nie było czego. Nie chcieli i nie umieli. Dla Polaków szeroki był świat. Przecież wreszcie pociąg ruszył. Zapadał zmierzch ostatniego październikowego dnia 1941 roku. Rozlokowano się nawet wygodnie. Wagony były osobowe, z ubikacjami, nie (nz). Przeszłyśmy do przedziału pani Margerity, pani Kawecka jechała z godnością osoby zamożnej posiadającą za plecami kilka naładowanych walizek, osoby znanej jako żona emerytowanego pułkownika. Wśród całej emigracji polskiej w Kustonaju. Pani Margerita wyciągała kanapki i częstowała byłe łagiewnice. Jechały pani Kuleszyna, w futrze, błyskająca pierścieniami, obładowana pościelą.

Rozmówca: Pani Kuleszyna?

MBK: Tak. Trzepocząca się dziewczęco pani Halina, jechała pani Zyndram-Kościalkowska.

Rozmówca: Żona tego Zyndrama-Kościalkowskiego byłego premiera tak?

MBK: W każdym razie jakaś kobieta. Z córką Tirą.

Rozmówca: To były wojewoda białostocki Zyndram-Kościalkowski przed wojną.

MBK: Z panów czarował okrągłością lisa i nieskazitelnie czystą koszulą pan Władzio. Pan Władzio był bardzo uprzejmy dla wszystkich dam, a najbardziej wobec pułkownikowej toteż wychwalały go. Korzystały z jego uprzejmości i częstowały przysmakami. Władzio twierdził, że był w obozie, hen gdzieś koło Władywostoku. Chociaż jego puczałowaty wygląd nie zdradzał nadzwyczajnych cierpień za ojczyznę. Brat jego Kazimierz, antypatyczna figura, prowadził podobno w Polsce kantinę wojskową. Pan Andruszkiewicz z 18-letniem synem.

Rozmówca: Pan Andruszkiewicz.

MBK: Zaopatrzeni przez matkę w porządne ubrania i plecaki mieli wspierać armię wątłymi ramionami. Pan Andruszkiewicz wrócił niedawno z obozu, włosy siwiały na skroniach ale nie chciał uchylić się od szczytnego obowiązku. Do Czkałowa, dawnego Orynburga na granicę Europy i Azji miano zajechać w nocy. Komendant transportu pan T. Furman szpitalny koło Kustonaju zbierał pilnie amnestyjne dokumenty, aby otrzymać chleb dla wszystkich. Ufali jego sprytowi i zaradności.

[00:15:00]

Pani Kawecka знаła go z polikliniki kustonajskiej. Był gospodarzem z kresów, ale widomo, że po takich nieszczęściach wszyscy Polacy czuli się jak bracia. Nocą transport stoczył się na dworzec czekałowski wyskoczyliśmy z pociągu. Tutaj nam się (nz) drugi etap podróży, niedaleko do Totka. Gdzie stacjonowała tworząca się armia polska. T. poszedł do komendanta stacyjnego, panowie gorliwie pomagali paniom wyładować walizy, matka i ja wszczęłyśmy rozmowy z jakąś panią kapitanową jadącą z synem na wezwanie męża do sztabu armii. Okazało się, że kapitanowa mieszkała we Lwowie niedaleko naszego domu. Znała całą tragedię rodzinną, widziała grabież, była bardzo przejęta i z zakłopotaniem ale natarczywie wcisnęła nam do ręki 100-rublowkę. Nie chciałyśmy przyjąć, ale nalegała odkładając długo na czasy powojenne. Jakiś kapitan z białoczerwoną opaską i zapowiedział, że ani Tock, ani Muzułów nikogo już nie przyjmuje. Że owszem jeśli ktoś ma wezwanie jak kapitanowa od męża. Ewentualnie młodego Andruszkiewicza do szkoły lotniczej mogą przyjąć, ale poza tym

tak wszystko koło Czkałowa jest zapchane ludnością cywilną i wojskiem, że mowy o przyjęciu jeszcze jednego transportu nie ma. Trzeba jechać dalej na południe gdyż niedaleko Taszkientu tworzy się 8 dywizja i tam będzie się grupować wszystkich Polaków. Nie pomogły protesty ani prośby, załadowano się więc posłusznie z powrotem do wagonów i ruszaliśmy w dalszą podróż, łatwo już godzono się, że (nz) czekali dwa lata, dlaczego nie mieliby okazać jeszcze trochę cierpliwości. Dopiero gdy transport ruszył z Czkałowa. Przejęła nas z niepokojem nieobecność pana T. Nie tylko, że nie przyniósł chleba, ale wszystkie (nz) dokumenty amnestyjne ugrzęzły w jego kieszeni. Dla tych Rusków, którzy wraz z nim poszli z workami na stację też nie było. Pani Kawecka pierwsza opanowała sytuację, no i cóż. T. dogonił nas następnym pociągiem. Wszyscy jesteśmy jednakowo bez dokumentów, a nikt z władzy, ani z kolejarzy wiozących Polaków, nie interesuje się naszą (nz). Wobec wszystkiego wszystko było w porządku. Wobec powyższego. Dni upływały spokojnie. Obie z matką nie byłyśmy w stanie zjeść od razu trzech bochnów chleba, toteż zaczął pleśnieć i z bólem serca było trzeba porządne pajdy wyrzucić. Kiełbasa kończyła się, zostawał jeszcze czosnek. Pieniądze wydawaliśmy od czasu do czasu. Im bliżej owocowego rajy Taszkientu na melony, rodzynki i inne słodkości.

Rozmówca: To było wszystko w czasie podróży prawda?

MBK: Tak. A przecież do Taszkientu było już niedaleko. Na piąty dzień podróży spodziewano się tam zajechać. Tymczasem coraz bardziej interesowały wszystkich krajobrazy. Ciepło południa przenikało. Rozległy stepy, piaski z (nz). Dziewczęta o niezliczonej ilości posplatanych warkoczów. Stare Kazaczki w białych zawojach. Gliniane domki na stacjach i nieśmiertelna sprzedaż lepioczków. Placków pieczonych na ogniotrwałych patelniach. Ceny po 2 ruble sztuka. Podziwiano oryginalność tych zakątków, paplano o dziwach tutejszych i opróżniano plecaki. Matka i ja z przerażeniem zaczęłyśmy się przekonywać, że pieniądze topnieją z dnia na dzień w pustyniach i stepach Kazachstanu i Uzbekistanu. W Taszkencie sprawdziliśmy na placówce polskiej, że T. ani nas nie dogonił, ani nie zatelegrafował. Tak już nie pozostawało nic innego jak stwierdzić, że beczelnie ukradł dokumenty i sprzedał różnym typom starającym się w tym czasie o obywatelstwo polskie.

[00:20]

Na stacji zjawiły się osoby w półwojskowych mundurach, między innymi jakiś podporucznik ze Lwowa i objaśniły z (nz) publikę, iż w owej chwili nic jeszcze o 8 dywizji nie słyhać,

naturalnie formowanie jej niedługo się rozpocznie. Owszem będzie mobilizacja, na razie cóż, niech jadą do Cerambu. Cerambu leży w Uzbekistanie. I tam na razie kieruje się wszystkich.

Rozmówca: Proszę powtórzyć nazwę Ferał?

MBK: Ferawu.

Rozmówca: Ferału?

MBK: Ferawu.

Rozmówca: Ferawu.

MBK: Tak, jeszcze dalej będę mówić o Ferawu. To bardzo dziwna historia z tym Ferawu, bo tam kanał fergański.

Rozmówca: Kanał fergański w pobliżu.

MBK: Tak. Opuszczano Taszkient z ciężkim sercem. Największe zdziwienie wśród podróżników wywoływały transporty Polaków idące w przeciwną stronę. Dokąd jedziecie pytają (nz) odpowiadano. Gdzież ta armia dziwiono się, kiedy my do niej jedziemy w przeciwną stronę. Wszystko było niepojęte. Po jednodniowej podróży zawrócono transport z powrotem do Taszkientu. Nie puszczano już Polaków do Ferawu. Nieliczni wracali z Ferawu z obłąkaniem w oczach. Nie było tam po co jechać do tego przeklętego kraju, pustyni za wodą, koło kanału fergańskiego. Dostawano się tam pociągiem i statkiem, by wylądować na piaskach pustyni bez jedzenia i picia pod gołym niebem bez schronienia od skwaru. Mężczyźni, kobiety i dzieci marli tam podobno wśród wszy, tyfusu, biegunki i malarii. Kanał kazano nam tam budować opowiadali napotkani. Jak to? Przecież wszyscy jechaliśmy do (nz) uśmiechali się gorzko. Akcja Ceramu jest niezrozumiała. Chodziły plotki, że to jakieś władze nieuczciwie sprzedały Polaków NKWD do budowy kanału.

Rozmówca: Przy tym kanale pracowali Polacy, którzy jechali z myślą o wojsku.

MBK: Nam mówiono, że w Taszkencie będzie armia, armia jeszcze się nie tworzyła, bo to była kwestia czasu. Natomiast spotykaliśmy Polaków, którzy wracali z Cerabu. Trzeba było jechać pociągiem, a później statkiem i tam na gołej pustyni po prostu ich koło tego rzekomego, przyszłego chyba kanału żerańskiego wyladowano. Ale oni jechali także na południe do armii.

Rozmówca: To był kanał pergański tak?

MBK: Tak. W stronę Czkałowa szły transporty z były wojskowymi i z byłymi policjantami. Byli jeszcze w mundurach. Na stacyjkach podchodziły do transportu Polki osiedlone od niedawna w uzbeckich kołchozach. Jak życie? Mówiły o pracy na bawełnianych polach i dobrych warunkach. Kilo chleba, litr mleka i winogrona na (nz). Wiadomo wojna, ewakuantów zaczyna już dużo nadjeżdżać, trzeba przetrwać i doczekać się ogólnej mobilizacji do armii. Wracaliśmy znów do Taszkientu. Przedstawiciel polskich władz wydał nam skierowanie do uzbeckiego kołchozu Kermeni. Ale właściwie już nie wiem, bo zaszło nieporozumienie. Czy on nam wydał Kirszynaje a myśmy pojechali do Kermeni. Czy wydał do Kermeni a pojechaliśmy do Kirszynaje, bo było niewyraźnie napisane. W każdym razie dzięki temu pomyłce odnalazłam brata, bo znów podróż w brudzie i wszach, wagonach zawalonymi ubikacjami. Gromada podróżnych powoli topniała. Matce odbierały humor absolutnie kończące się pieniądze. A przecież trzeba było dowieźć kilka rubli do tej ziemi obiecanej. Do owych pól bawełnianych. Placówka reklamowała iż wcale tam nie jest źle.

[00:25:00]

I że popracujecie trochę, a potem już będzie mobilizacja przyjechali w liczbie 40 osób do Kirszynaje, któż by tam zwracał uwagę, czy to Kermeni czy Kirszynaje. Na skierowaniu nazwę napisano tak niewyraźnie, że można było ją różnie interpretować. Stacyjka nad ranem zrobiła urocze wrażenie. Witrazami ozdobiony dworcowy budynek, przerobiony zapewne z jakiejś świątynki uzbeckiej. Kilku Uzbeków drzemało u stóp budynku. Odzianych w chałatowate, kolorowe szlafroki. Na głowach kibitejki.

Rozmówca: Przepraszam, kibitejki?

MBK: Kibiutejki.

Rozmówca: Kibiutejki to są te takie mycki?

MBK: Te kiatiuszki. Obok osiołek, nieduży park stacyjny, bawił się (nz). Z wolna świtało i w witrażowych szybkach paliły się wszystkie kolory poranka. Chyłkiem pobieглиśmy na bazar (nz) soczystością melonów. Potem trzeba było rozejrzeć się za swoim kołchozem. I tu okazała się tragedia. To przecież było Kirszynaje, a miało być Kermeni. Najbliższa placówka polska daleko, w Bucharze. Co robić? Wówczas ster rządów objęła pani Kuleszyna.

Rozmówca: Pani Kuleszyna tak?

MBK: Połyskując pierścionkami poleciała do samego naczelnika partii. Wróciła w triumfie, dla Polaków doczepiono dwa wagony i ruszono do Koganu. Aby stamtąd dobić wreszcie do mitycznego Kermen, który (nz) zaznaczonego w rejonie Kizeltede. W Koganie całe długie szeregi pociągów. Szeryf stanął i stał bez przerwy dwa dni. Z sąsiednich transportów dochodziły wrzaski. Jakies gromady zrozpaczonych Polaków, domagali się jedzenia oraz jakiegoś zorganizowania życia. Wyszedszy z wagonu można było przechadzać się między ogromnymi zwałami odchodów ludzkich, można było obserwować ludzi wyzutych z jakiegokolwiek wstydu i załatwiających się na oczach wszystkich. Smród połączony z gorącym pyłem południa drażnił nieznośnie. Jedyńą ulgę stanowił mały wodospadzik w pobliżu wagonów, gdzie można było umyć się z góry na dół i ubrać bieliznę, ludzie wylegali na stację siadali tam (nz) resztki chleba. Lub przeprowadzali kurację odwszawiającą. Matka i ja po gruntownym odczyszczeniu garderoby byliśmy w przedziale, gdy wpadła Kuleszyna przejmującym głosem wołając, czy jest tu pani Błażewska, gdzie jest pani Błażewska. Był 10 listopada 41 roku, godzina 5 po południu. Blaski słońca stawały się łagodniejsze z powietrza spływało ukojenie. Matka wybiegła do drzwi wołając na całe gardło. Co takiego? Czy Andrzej wrócił? Wszyscy poderwali się z miejsc a ona z płaczem całowała chudego, zgarbionego chłopca, bardzo wysokiego o szarzielonej cerze. Odzianego w łagiewne spodnie i w kufajkę. W szarej czapie na głowie, na nogach kaloszowate buty obozowe, na plecach mały węzełek. Tak, to właśnie był Andrzej. Dziwnym zrządzeniem tułający się po tych samych bezkresach (nz) był i w Orynburgu, ale gonie przyjęto do armii. Zawszawiony, umęczony i głodny, znużony i chory. Leżał w lesie na półce wagonu, (nz) kocu zachowanym jeszcze przez matkę z paczki więziennej. Dopiero co uprane przez matkę onuce suszyły się, za ostatnie 5 rubli wysupłane przez matkę skonsumował dwie zupy w stacyjnej stołówce i zasnął. Odnalazł nas przez kolegę z obozu. Młodego żyda, którego spotkaliśmy przypadkiem poprzedniego dnia i jak zawsze i wszystkich pytaliśmy czy nie spotkał przypadkiem Andrzeja lub Witka. Chłopak przyglądał nam się chwilę i powiedział, że znał Błażewskiego. Taki, który ma rękę na temblaku i pracował razem z nim w szachcie węglowej w Karagandzie i nawet jest podobny do matki. Nie

[00:30:00]

chciałyśmy wierzyć, aby to była prawda, fantazjuje ten młodzieniec, skąd te słowa, że Andrzej podobny do matki, kiedy już ona nie podobna do dawnej młodej damy. Tymczasem chłopak mówił prawdę, spotkał się na mieście z Andrzejem i powiedział mu, że matka i siostra szukają go. Ręka na temblaku, ropa ciekła, to nic, nieważny wypadek. Och jakże

słodki był ów dzień spotkania w dalekiej Azji bez rubla przy duszy, bez możliwości życia, bez perspektyw i jak bardzo był to dobry dzień wobec tych trudów i łez, które jeszcze oczekiwały Polaków wrzuconych na (nz) na dalekie krańce Związku Radzieckiego. Zanim dotarliśmy do Kiermeni to minęło kilka dni. Bo pan Władzio i jemu podobni zapewniali nas, że trzeba czekać...

Blazejewska-Kosinska_Maria_I-0040-5B

MBK: No i od tej pory zaczęło się, że trzeba czekać na właściwy pociąg, pani Margerita Kawecka okazała się bardzo szlachetną osobą, po prostu wzięła całą naszą trójkę na utrzymanie.

Rozmówca: To znaczy panią, mamę i brata Andrzeja?

MBK: Tak, bo ostatnie pięć rubli to zjadły dwa talerze zupy. W końcu wysłano delegację do placówki polskiej w Koganie, ale tam nic nie umieli powiedzieć i dopiero 18 listopada zawinęliśmy do Kiermeni. Do uzbeckiego kołchozu. Był to kołchoz bardzo uroczy jak z bajki, zielony. Pola bawełny, te domki bez oczek, tylko z drzwiami. I przyjęto nas tam bardzo dobrze, bardzo serdecznie. Uzbeczki poczęstowały nas swoimi lepioskami jak żeśmy pracowały z nimi na polu niestety to szczęście trwało tylko 3 dni. Po 3 dniach przyjechało NKWD i pytało ty kto? Żyd, Ukrainiec czy Polak? I teraz tak, żydzi i Ukraińcy na jedną stronę, Polacy na drugą, żydzi i Ukraińcy zostali a Polaków spakowano na... to takie wozy dwukołowe powieziono na stację i dalej, do południowego Kazachstanu. Zapisałam wtedy, wszystko okryte tajemnicą, jedni mówią Sybir, drudzy twierdzą Iran, ktoś domyśla się. Zawarto tymczasowy pokój z Niemcami, więc powrót Polaków do domu, my we trójkę od dawna już nie mamy pieniędzy. Pani Kalecka ma jeszcze 8 rubli. Pociąg jedzie bez przerwy, spieszy mu się, dlaczego, po co? Na razie minęliśmy Samarkandę. Jedziemy na Taszkient, czy to na lepsze czy gorsze.

Rozmówca: To była pani notatka z tamtych lat?

MBK: Tak. Jeszcze dłuższa była. W Taszkencie na stacji był Jan Kwapiński i Hanka Ordonówna.

Rozmówca: Jan Kwapiński i Hanka Ordonówna.

MBK: Tak, Hanka w futrze, a Kwapiński socjalista.

Rozmówca: Tak tak.

MBK: Powiedzieli nam, że 8 dywizja polska będzie tworzyć się na wiosnę, a tymczasem Polacy zostaną osiedleni w południowym Kazachstanie w okolicach Dżambu.

Rozmówca: Dżambu.

MBK: Dżambu to poeta Kazachski tak się nazywa. Tam będą wykonywać zimowe prace kołchozowe a na podstawie umowy rządu polskiego z rządem radzieckim wszyscy będą dostawać codzienne racje mąki, 500 gram na osobę dorosłą i 300 gram na dziecko oraz mleko. Taka była decyzja. Jechali więc dalej w stepy południowego Kazachstanu. 4 grudnia 41 roku przybyliśmy tu, a stąd rozdzielono nas po kazachskich kołchozach.

Rozmówca: Jak się nazywa ta miejscowość?

MBK: Czu.

Rozmówca: Czu.

MBK: I rzeka jest Czu. Bardzo piękna rzeka. Matka, ja i Andrzej wraz z Kaweckimi, Marszałową, Wierczyńskimi, matka i córka, Władziem i jego bratem. Kępami i szeregiem innych, znaleźliśmy się w tembliku oddalonym od gminy Mojenkun. A Mojenkun znaczy szczyja piasku. O 8 km od rejonu Nowotrojsk o 18 km, a od Czu o jeszcze dalsze 10 km.

Rozmówca: To była zapadła prowincja.

MBK: Tak. Kołchoz Kazachski jakże inny od Uzbeckiego. Step, gliniane domy z polepą, ani drzewka, tylko potężna trawa stepowa, burzany, które stanowiły paliwo. Chata jaką otrzymaliśmy wraz z Kaweckimi i braćmi Wu,

[00:05]

składała się z jednej izby o glinianym klepisku, gdzie jedynym meblem był żelazny piecyk. Do tego piecyka trzeba było zbierać na stepie paliwo, czyli burzany. W sionce znajdował się gliniany piec letni do pieczenia placków na skorowodach. Skorowodów nie posiadaliśmy. Za posłanie służyły wiązki kiewieru, czyli trawy stepowej do karmienia bydła, ustawionej na czas zimy w stożek na stepie. Nie posiadaliśmy niczego poza ustalonymi wędrówkami łąkami. Nie mieliśmy zapalek i aby zapalić w piecu trzeba było prosić Kazaczki o żar, a one

inaczej jak Uzbeczki opędzały się wrogo od nas. Dżog, dżog. Znaczyło nie ma. Niczego nie ma dla przybyszów.

Rozmówca: Dżog.

MBK: Kazacy tutejsi byli jeszcze dzicy. Oni dopiero 15 lat przestali koczować, chociaż i to w lecie wyruszali całymi tabunami na step.

Rozmówca: Coś tak jak u nas cyganie.

MBK: W jurtach Kazaczki nosiły te białe takie swoje, takie suknie.

Rozmówca: Z otworami na oczy tak?

MBK: Nie, tylko to od razu było (nz) mieli już w izbach meble, to znaczy łóżka i to nie wszyscy. Zimy jeszcze srożej nie było, więc Kazaczki siadały na podwórkach, przy rozpalonym kotle, w którym warzyła się jagła i odwszawiała się. Poza jagłą jedli lepszą czyli cienkie kluski, które kładli sobie na odwróconych ramionach i jednym chałstem łykali.

Rozmówca: Łapsze.

MBK: Łapsze to jest makaron po rosyjsku. Oraz tuczyli się zapasami mięsa baraniego. Dziewczęta nosiły niezliczoną ilość warkoczyków z powpłatanymi wstążkami i monetami. Chodziły w długich kwiciastych spódnicach i europejskich żakietkach. Kazaszki straszili bródkami i ostrymi cienkimi wąsikami. Pierwsza dekada grudnia była klimatycznie do zniesienia. Nie nastały jeszcze wielkie mrozy i okropne zamiecie z których słynie Kazachstan południowy. Klimat tam jest kontynentalny, bardzo błotniste, bo ziemia tłusta, urodzajna, deszczowe przedwiośnia i jesień. Suche z temperaturą do plus 40 stopni lata. I bardzo mroźne do 40 stopni zimy. Chory na gruźlicę. Ale kiedy w lutym ogłoszono komisję lekarską do wojska.

Rozmówca: To był rok 42 już?

MBK: Tak początek 42. Zima. To poszedł te 18 km do Nowotroicka, mimo, że go błagaliśmy, żeby nie szedł.

Rozmówca: Nowotroick.

MBK: Tak, to taki rejon. Nie, rejon to Czu. Czu jeszcze większy. Ale RKU było... RKW raczej. Ponieważ Władzio z bratem bardzo dokuczali nam, a szczególnie Andrzejowi,

postanowiliśmy się wyprowadzić z matką i z Andrzejem od nich, oni zostali z Kaweckimi w tej kibitce. A my poszliśmy na świniańnię. Kazacy są muzułmanami, świnie musieli chować na kontyngent , ale takich świń to nikt w życiu nie widział, takie zagłodzone, zachudzone, wiecznie głodne w rozwalającej się szopie. Knur agresywny bardzo i pastuch przychodził raz dziennie i przynosił trochę kukurydzy do tych świń, a my miałyśmy tą Kibitkę w sąsiedztwie świń, po drugiej stronie sionki i warzyłyśmy klewier w kotłach i ten klewier...

Rozmówca: Co to jest klewier?

[00:10]

MBK: Trawa stepowa, na której spaliśmy. Ta trawa stepowa posypana kukurydzą do koryta, to było jedyne pożywienie świń. A nasze pożywienie miało być mleko dla Andrzeja, nie było mleka. A Kazacy w ogóle wywiązywali się w ten sposób ze swoich obowiązków, że zamiast dawać 500 gram mąki dawali na przykład 500 gram pszenicy, którą trzeba było tłuc dopiero w stentach. Albo ryż. No słowem głód tam był niesamowity. I wtedy w tym głodzie już była placówka polska w Nowotroicku. I zjawił się lekarz, lekarz dał nam 5 rubli polski lekarz Raczkiewicz.

Rozmówca: Raczkiewicz.

MBK: Tak. I w ten sposób zostaliśmy zarejestrowane na placówce. I wtedy w taką straszną noc, zimną okropnie. Napisałam wiersz dla Witka. I ten wiersz na drugi dzień... znaczy napisałam, zapamiętałam w nocy i przepisałam jakimś kawałkiem ołówka na jakimś kawałku papieru i posłałam do Kujbyszewa do redakcji polskiej gazety. Polska, pod redakcją Ksawerego Pruszyńskiego wychodziła. A wtedy jak ja posłałam ten wiersz to już Parnicki był. I Parnicki momentalnie zadepeszował na placówce jaki jest mój adres i otrzymałam od niego list. Mam te listy, dwa listy są. Gdzie napisał, że wie, że jest bardzo piękny. Rzeczywiście to dobry wiersz jest i powieźli go. Nocna wędrówka. Z księżycem jak z latarnią idą po mlecznej drodze. Może cię przecież odnajdą którejś bezsennej nocy. Księżycem świecę nad stepem, gwiazdami płaczenad rzeką. Trawy się wokół kolebią i w ciszy słyszać echo. No i milczy. Gdzie żeś się ukrył przed moim wzrokiem stęsknionym. I w którą świata stronę wyciągnąć mam moje ramiona? Może ja drogę zgubiłam, może mnie gwiazdy zmyliły, wiem, pewnie wtedy zbłądziłam, gdy ciężar łez był nad siły, księżyc latarnia dogasa. Pobladała droga mleczna, na niebie zorza jasna, ja jedna zostaję, czekam. No i Parnicki mi entuzjastycznie ocenił ten wiersz wydrukował w tej Polsce, tylko ja w chwili depresji, ale to już podarłam ten

numer. A to archiwalny numer Polski wydawanej przez ambasadę Polską. No i zaczął tworzyć się sierociniec w Moimkunie. Na placówce zjawiał się Fęgler. Roman Fęgler.

Rozmówca: Fęgler.

MBK: Ze sprawy Januszajtisa znam to nazwisko. Nie widziałam go osobiście. Ale napisał do nas list. Że zatrudnia nas w sierocińcu polskim, który będzie sierociniec organizowany pod auspicjami placówki i rzeczywiście od... to musiałabym sprawdzić jaka była data. W marcu 42 roku do kwietnia 43 czyli momentu zerwania stosunków polsko-radzieckich byliśmy w sierocińcu. Andrzej w międzyczasie umarł. Nic mu nie mogło pomóc, przecież

[00:15:00]

był u mnie na (nz) i w ogóle był wycieńczony. Także umarł 27 maja 42 roku nie mając jeszcze 20 lat. O Witku natomiast nic absolutnie, gdziekolwiek kogo pytałam nikt nie wiedział. Ambasada też poszukiwała, drukowali w Polsce, znaczy w tym piśmie Polska drukowali spisy poszukujących rodzin. No ale... nie spotkałam nikogo kto by się odezwał, że z nim siedział. Także na pewno umarł między kwietniem a czerwcem 40 roku na Zamarstynowie. Także prawie rok byliśmy w sierocińcu, mieszkaliśmy u Czezeńców. Bo to był kolchoz taki niewielki. Ale było tam 14 narodowości. Tylko z Kaukazu było 14 narodowości. Czezeńcy ubierali się jeszcze w te swoje czamary granatowe. I kindżały na siebie i mówili kindżał, kindżał i odprawiali modły zbiorowe. Potem byli Niemcy wysiedleni z nadbużańskiej republiki. Ci się najlepiej porozumiewali z naszymi żydami. Byli ewakuowani Rosjanie, byli Ormianie, byli Turcy. W każdym razie budulec był jeden, glina. Ale widać było czystość i dbałość niemiecką przy tej samej glinie, albo takie podcienie i ganki przy tych, domach muzułmanów. No to tutaj jakeśmy przybyli do sierocińca to było pięcioro dzieci, a jak żeśmy odchodzili to było 80. Ja mam znajomą zresztą, dziewczynkę z sierocińca. Której teraz napisałam, żeby opisała swoje te, dlatego, że... w 43 roku 24 kwietnia wyjechał ambasador Romer z Moskwy. Z Kujbyszewa. Zaczęło się już na jesieni. Kiedy NKWD zaczęło przeprowadzać rewizje na naszych placówkach. Pan Poloczek kierownik delegatury pojechał do kamieniołomów. Zaczął tam mówić, że Polacy robią interesy, że handlują złotem, że kradną mydło, że tego. Bo żeśmy dostawali pomoc amerykańską. I sprawa Katynia wtedy wypłynęła. A my jeśli chodzi o dokumenty nasze, moje i matki tośmy miały po prostu zaświadczenie, że jesteśmy pracownikami sierocińca polskiego po polsku napisane. Tymczasem po wyjeździe ambasadora i wszystkich. Parnicki też wyjechał wtedy przecież. Zaczęła się paszportyzacja, to znaczy naraz zaczęto wzywać. Aha naprzód, jeśli

chodzi o sierociniec przyszło rejonowy oddział oświaty. Z rejonowego oddziału oświaty, przyszła pani. Rosjanka, która powiedziała nam, że przejmuje sierociniec, że możemy zostać jako pracownice. Ja byłam pomocnicą kucharki, a mama była wychowawczynią.

[00:20:00]

Potem byli państwo Szachnowscy nauczyciele z Brodów.

Rozmówca: Państwo Szachnowscy.

MBK: Tak pan Szachnowski prowadził starszą grupę dzieci, moja matka młodsze dzieci. Pani Zofia Szachowska była taką pomocą lekarską. Kierowniczką nazywała się Ewa Skrzetuska, młoda zresztą osoba, no i ja kucharka. Dzieci były odżywione, zadbane, ubrane. Zaczęło się od tego właśnie że możemy zostać w sierocińcu, mimo zerwania stosunków, ale musimy wziąć dokumenty. Bo jest wydawanie dokumentów, no i posłano nas po te dokumenty 18 km dalej do (nz). Ale po drodze jeszcze razem, cały rejon nasz postanowił nie brać dokumentów. Siedzieliśmy, cały tydzień siedzieliśmy na stepie i nie braliśmy dokumentów. A już z innych rejonów dochodziły wieści, że tam też jest paszportyzacja. To nic nie było. Było imię, nazwisko, nacjonalność polska. Tylko dokument był wydany na podstawie uchwały Wierchownego Sowietu, dnia 24 października 1939 roku. Czyli włączenie Białorusi i Ukrainy. Ukrainy, bo Białorusi nie wiem czy (nz). A więc obywatelstwo radzieckie. Więc ukrywaliśmy się na tym stepie, później stworzono nam możliwość, była (nz) to znaczy budowa ślepego toru dla pojazdów, które miały wozić buraki cukrowe, więc bardzo ciężka praca i to był jedyny ośrodek, który przejmował Polaków bez dokumentów. Więc żeśmy tam się ulokowali. To trwało niedługo. 15 lipca powiedziano, że będzie sprawdzanie dokumentów na Świokłobazie. A tam pracowały (nz) ewakuowane.

Rozmówca: Jaka to była baza?

MBK: Świokło buraczana.

Rozmówca: Świokło, czyli buraczana baza.

MBK: Jak ten NKWD-zista podszedł do mnie dokumenty to powiedziałam nie mam. A weźmiesz? A ja mówię a jak nie wezmę to co? A nicziwo, (nz) z roboty. No to już było bez wyjścia, bo z kołchozu nas Kazacy wygnali. Myśmy ukrywali się jeszcze w etapie kazackim, i słowem. Przedstawiciel kołchozu wiedział, że Polacy mogą pracować jak pokażą dokumenty, my nie chcieliśmy. My mogłyśmy pracować w sierocińcu jak byśmy się wykazały

dokumentem, ale nie chciałyśmy. Więc byliśmy właściwie bezdomni i teraz bez pracy jeżeli nie wezmę dokumentu. Ja wezmę, ale to już było nieważne, dlatego, że już cała sprawa, już wychodziła Wolna Polska i Nowe Widnokreği. Już Wanda Wasilewska i tworzenie armii polskiej w tym. Powiestkę dostałam, dlatego, że byłam taka...

[00:25]

Do armii przyjmowano kobiety do lat 30 bezdzietne. Oprócz mężczyzn, mężczyzn przyjmowano starszych. Matka moja zaraz, pierwszego dnia kiedyśmy poszły na zborny punkt zaraz się zadeklarowała jako ochotniczka. Miała wtedy 40 ile lat? Z 900 roku.

Rozmówca: 43.

MBK: Nie to jeszcze nie był 40 rok.

Rozmówca: 43.

MBK: tak 43. I uwzględniono to i zaraz w pierwszym transporcie ze zbornego punktu pojechała. A ja miałam prawo, bo dziecka nie miałam i nie miałam jeszcze 30 lat, jeszcze daleko było. Więc i zaczęły odchodzić transporty z tego zbornego punktu. Matka wyjechała. Zastanawiałyśmy się czy ma czekać na mnie, bo cała ta pierwsza partia, która przybyła na zborny punkt pojechała i były ich dokumenty z RKU, a moich nie było. Powiedzieli, że muszę poczekać na dokumenty. Wobec tego matka, rozstałyśmy się z matką, bo myśmy powiedziały, żeby nie cofnięto tego ochotnictwa. Więc ja siedziałam 10 dni, przejadłam wszystkie pieniądze i ciągle moich dokumentów nie było, a po 10 dniach tych co byli na zbornym punkcie, ten komendant RKU powiedział, że będzie jeszcze druga mobilizacja, a na razie idźcie sobie do domu i zostałam sama. Wtedy pomogła mi jedna z żydówek polskich, która pracowała bardzo zaszczytnie jako księgowa. W uzbeckiej torgobli. Ja miałam być wachciorem nocnym. No więc byłam tym wachciorem.

Rozmówca: Czyli stróżem nocnym?

MBK: Tak. Nogi mnie bolały niesamowicie, ale w dzień szłam 10 km do RKW żeby im się przypomnieć. Matka wysłała 17 listów, poza tym napisała do Związku Patriotów Polskich do Broniewskiej. Z 17 listów dostałam jeden, a od Broniewskiej dostałam kartkę, że matka się stara o mobilizację mnie, żebym ja się postarała do RKW. No więc chodziłam ciągle im się naprzykrzałam i kiedy drugi, rzeczywiście ogłoszono drugą mobilizację w listopadzie i wtedy cztery nas już bez przewodnika, nie całą grupą. Pojechałyśmy do armii. Ale ja z tymi

bołącymi nogami jeszcze chcieli mnie zatrzymać. Ja miałam takie czyraki przecież, że gdybym pokazała jena komisji to by mnie cofnięto. Ale chytrze była komisja, była babska i lekarki się zachwyciły (nz).

Rozmówca: Co to znaczy?

MBK: Pończochy wełniane, a to amerykańskie. Ja powiedziałam da da amerykańskie. Ach amerykańskie i wdałyśmy się w rozmowę o чулках, ja szybko naciągnęłam pończochy na nogi.

Rozmówca: To była komisja już w (nz) w Sielce?

MBK: Nie.

Rozmówca: Tam na miejscu w Kazachstanie?

MBK: Na miejscu. Bo był punkt poborowych i ja na tym punkcie dla poborowych przesiedziałam 10 dni i przejadłam wszystko, bo żywiliśmy się na własny koszt.

Rozmówca: Kiedy pani dotarła do armii do punktu formowania?

[00:30:00]

MBK: (nz) już nasi sprytni z wiadrami i workami jechali do armii.

Rozmówca: W czasie podróży.

MBK: Tak. I sól przewozili znad morza Aralskiego. (nz) mówię panu. Tu przez Aral, nad morzem Aralskim, Aktubińsk, Uralsk, Kujbyszew do Rjazania. Miasta położonego w republice federacyjnej rosyjskiej. Niedaleko, bo tylko 200 km od Moskwy. W sumie chyba z 8 tys. km. Jechało się od 23 listopada do 3 grudnia. Transportowi polskiemu było wesoło na duszy, i lekko na sercu oraz w węzełkach. Podróżowaliśmy razem z krasnoarmiejcami.

Poza tym spotykaliśmy transporty mężczyzn Polaków z różnych rejonów. No więc kupowali za kopiejki pełno soli nad morzem aralskim i z wielkim zyskiem sprzedawali ten towar na terenie republiki rosyjskiej.

Blazejewska-Kosinska_Maria_I-0040-6A

MBK: 19 lutego 42 roku przekazano nam kartkę z rejonowej placówki. Pisał przedstawiciel placówki dr Fengler. Pytając o życiorysy. Fengler, to przecież ze sprawy Januszajtisa, poznański naukowiec. Kontakt Marylki czy Kazi, odpisałyśmy. Na horyzoncie kołchozu pojawił się jakiś mężczyzna, kryminalista polski, który wraz z innymi wyrostkami ukradł dwie świnie z naszego świniarnika. 23 lutego przyszedł list od Fenglera. Mąż zaufania ambasady RP z ZSRR na rejon tu. Pani Błazewska Maria, kołchoz (nz) zapoznałem się z pani życiorysem. A ponieważ zgodnie z instrukcjami zalecone jest ratowanie byłych łagiewników i politycznych. Proponuję pani po pierwsze w utworzonym przez rejonowego męża zaufania polskim sierocińcu (nz) obejmie pani obowiązki wychowawczyni. Naprzód tytułem próby na 3 tygodnie. Nie obiecujemy żadnego zawodu prawnego. Pracuje pani jako pracownica za jednym wynagrodzeniem, to jest po 6 rubli 66 kopiejek dziennie. Zostanie pan przez (nz) skierowana do naczelnika kołchozu do Majkun. Aby dostarczono dla pani jako pracownicy sierocińca mieszkanie oraz dla córki i syna. Odpowiednie skierowanie dostarczy pani pan dr Radkiewicz. Organizacyjnie podlega pani kierownicze sierocińca, pani Ewie Skrzetuskiej. Proszę o bezzwłoczne przeniesienie się do Majkun. Dwa pani Maria Kosińska uda się wraz z panią do Majkunu i będzie w sierocińcu pomocnicą kuchenną, na tych samych warunkach pracy co pani. Zastrzegam się przeciw zamieszkiwaniu pań i syna w sierocińcu. Wolno będzie paniom natomiast korzystać z jedzenia z sierocińca, z wykluczeniem produktów takich jak czekolada, kakao. Mleko skondensowane i ewentualnie konserwy mięsne i owocowe wyłącznie przeznaczone dla dzieci. Kwotę utrzymania osoby obliczam plus minus na 5 rubli łącznie z przypadającą racją dzienną chleba i tę kwotę będzie się strącać z wynagrodzenia. Trzy, syna Andrzeja Błazejewskiego zabierze pani do Majkun. Nie jest wykluczone, że umieści się go w miejscowym szpitalu. Panu Andrzejowi Błazejewskiemu nie wolno przebywać w sierocińcu. Przeznaczone dla niego wyżywienie przez kucharkę sierocińca, panią Skrzetuską starszą należy synowi podawać poza sierocińcem. Z treścią pisma zapozna pani po przyjeździe do sierocińca panią Ewę Skrzetuską oddając niniejszy list do przeczytania. Podpisano Roman Fengler. 24 lutego wyprowadziliśmy się ze świniarnika, a 28 wymaszerowali z tobołkami do Majkun do sierocińca. Rzeka Czu ruszyła, skakaliśmy z kry na krę ale nic nam się nie stało. W sierocińcu były już dwie panie. 24-letnia Ewa Skrzetuska kierowniczką, a przy kuchni w roli kucharki jej matka Eleonora. Dzieci na razie było pięcioro. Pięć siostr w wieku od 5 do 16 lat. Zosia, Wandzia, Kazia, Władzia i Stasia. Więc na razie trudno było mówić o przepracowaniu personelu. Kołchoz wyznaczył racje po niskich

państwowych cenach na mąkę i kapustę kiszoną oraz kartofle, z placówki w Nowotroicku były jakieś dobroci amerykańskie, w małej ilości na początek. Było mydło do prania większy luksus, a pod kocem paliło się też luksusowo, nie (nz) lecz faksaułem. Faksauł twarde korzeniaste, bezlistne drzewa karbowate, wyrębywano daleko na stepie i stamtąd dowożono i rozprowadzono po zakładach i instytucjach.

[00:05:00]

Faksauł był jak żelazo, a popiół dawał tak gruby, że służył nie tylko do zachowania żaru ale można go było używać do (nz) do prania. Dom sierocińca gliniany jak wszystkie składał się z trzech sypialni, umeblowanych matami i łózkami nakrytymi kocami, w dużej sieni w której stał kocioł do gotowania posiłków. Pokoiku higienicznego zaopatrzonego w drewniane (nz) kuchenki podręcznej i pokoju, w którym mieszkała Ewa z matką w naszej rodzinie kołchoz przydzielił komórkę u Rosjan, spaliśmy więc nadal pokotem na (nz). Stosownie do zarządzenia objęłam posadę pomocy kuchennej. Z początku nie było nic do pracy, ale już wkrótce sierociniec rozpoczął gwałtownie zaludniać się. W ciągu miesiąca dzieci było już trzydziestoro. Później 60, a po kilku miesiącach dobito do 85. Nazwiska, Adolf i Ola Jakubowscy, Michał i Eugeniusz Czapka, Irka i Władek Tomaszewscy, Irka i Tadzio Baranowie, Gienia i Irka Tokarskie, Józio, Edek i Janka Doboszowie. Stasia i Tadzio Lelewiczowie, Marian i Irka Langnerowie, Witek Pąty, Szczepuś Łas, Władek Olender, Staszek Dziekoński, Jurek Krasucki, Stefa i Piotruś Marcowie, Krysia Adamczuk, Janka Wielgosz, Franek, Marysia i Bronek Jamrozowie, Madzia, Jacek, trzy siostry, z których najmłodsza liczyła 4 lata. Trójka Piłatów, oraz troje dzieci żydowskich. Więcej nazwisk dziś nie pamiętam, ale są takie co pamiętają, bo ja mam kontakt z jedną z sierocińca. Ona mieszka w Żarach. To tam by można było dać znać Wrocławowi, żeby Wrocław pojechał. A brat jej jest w Częstochowie, oni mieli już Stasia miała 18 lat, a Tadzio miał 16 lat.

R: Jak się ta pani nazywa i jaki jest jej adres?

MBK: Zaraz podam. Stanisława Morgowska.

R: Stanisława Morgowska.

MBK: Ulica Piastowska 10A, kod 68-200 Żary, koło Żagania. To wszystko sieroty lub półsieroty po osadnikach wojskowych wywiezionych rodzinami w głąb Związku Radzieckiego do Wołynia, Polesia, województw wileńskiego, (nz) tarnopolskiego, stanisławowskiego, półsieroty straciły matki, a ojcowie wstąpili do armii Andersa. Przybyła

także grupka wychowawców. Zofia i Józef Szachnowscy nauczyciele z Brodów oraz Kazimierz Węgrzyn o którym już wspominałam. Mąż Frani, który ładnie grał na skrzypcach, więc uczył dzieci śpiewu. Z początku kwietnia niespodziewanie umarła pani Eleonora Skrzetuska, pochowano ją na miejscowym cmentarzu. A berło kucharki przejęłam ja i moje kwalifikacje okazały się wystarczające. Siedział na klewierz i wycinał scyzorykiem kukielki z kartofli, które ubierał w kolorowe szmatki. Potem sam uszył sobie tiset, torebkę na machorkę i własnoręcznie wyhaftował. Palił mało. Doktor sierociński (nz) i pan Szachnowski zawsze podrzucali mu trochę machorki, jadł mnóstwo. Pił nareszcie kakao, jadł mączne potrawy, chleby, mięso, matka przynosiła mu jedzenie z sierocińca regularnie. Od 17 do 21 marca Andrzej przebywał w Majkuńskim szpitalu, pogorszyło się, było coraz gorzej. Doktor orzekł gruźlica gardła. Chłopak nie mógł już pić kakao ani mleka, ani nie mógł już przełykać klusek, wszystko zwracał. Któregoś majowego popołudnia siedzieliśmy oboje w słońcu przed progiem. Andrzej patrzył smutno na swoje wychudzone ręce, nadmiernie chude nogi i pytał gorzko, czy ty sądzisz, że ja kiedyś tymi nogami będę mógł jeszcze pojechać na nartach? Czy tymi ramionami będę mógł jeszcze kiedyś żeglować? Pocieszyłam go. Ale od lekarza wiedziałam, że to już beznadziejne, klimat zabijający dla gruźlicy. 27 maja 1942 w nocy matka obudziła mnie Jędrus nie żyje. Tej nocy miał trzy krwotoki. Trzeciego nie wytrzymał. Andrzejka został ubrany w pasiastą piżamę amerykańską włożony do trumny z pudła po makaronie. W głowie położyło mu się scyzoryczek i zielony szalik matki. Chłopcy znaleźli drzewo na krzyż i wymalowali na krzyż i tak w gronie dzieci z sierocińca ruszyliśmy na cmentarz. Gliniasty grób omyło się wodą, położyło jakąś trawę stepową i stepowe tulipany, bo rozkwitły już pięknie, a w rogu mogiły zakopaliśmy puszkę po kakao, aby kiedyś poznać w którym miejscu leży syn i braciszek, niestety cmentarz był nieogrodzony, kozy tam skakały. A zresztą zdaje się, że ten teren, że tam powstało sztuczne jezioro, bo kiedyś kilkanaście lat temu, w telewizji widziałam Czu i to było jakieś wielkie maszyny zasypujące ziemię, więc nie wiadomo czy w tym akurat terenie nie zrobiono sztucznego jeziora. W sierocińcu życie toczyło się swoim ustalonym trybem. Dzieciaki wylegały przed baraki i bawiły się, rano uczyły się. W Majkunie były też ładne miejsca nad głównym (nz) w którym dzieciaki taplały się, ludzie dobrze już pracowali na działkach i w kołchozie. Przekopywali kanały, (nz) do rzeki Czu, nawadniając w ten sposób pola. Na noc Aryjki zamykały się grudami ziemi. Rosły melony, kabany, dynie, ogromne opite słońcem pomidory, wspaniałe ogórki, kukurydza, kartofle, na kołchozowych polach pszenica, ziemia nie była w pełni wykorzystana, bo step zalegał szeroko i hodowano na nim bydło. Wtedy to wiosną wyjechała ze Związku Radzieckiego Armia, mówiono o tym tajemniczo, szeptano i żałowano, że do tej

armii nie zostało się przyjętym. Rejonowa placówka przebąkiwała gdy sierociniec był gotowy, bo możliwe, że zostanie ewakuowany do Iranu. Być może, ja nie liczyłam specjalnie na to. Sierociniec był (nz), dzieciaki dobrze zaopatrzone w zimowe i letnie sukienki, ubrania, bieliznę, buty, ręczniki, koce, mydło. Sierociniec nie utrzymywał kontaktu ze środowiskiem. Dni upływały jak w kołowym, w przerwach próbowałam dokształcać się w języku rosyjskim. Rozumiałam już bardzo wiele, a wypożyczona opasła książka z opowiadaniem Czechowa zachwyciła mnie. Pod koniec sierpnia placówka zawiadomiła mnie, że ktoś z Kujbyszewa pyta o mnie. Czekalam na to z drżeniem. Witek? 2 września nadeszła do mnie

[00:15:00]

depesza rządowa z Kujbyszewa, (nz) rejon czujski, kołchoz Majkun, polski dom. A treść przekazujemy telegraficznie 500 rubli, potwierdźcie. W potrzebie zwracajcie się do polskiej ambasady, albo do polskiego pełnomocnika w rejonie. Ruble otrzymałam w tydzień później, ale nic z tego nie rozumiałam. 13 sierpnia nadeszła druga depesza. Dziś można ze skrawka papieru zapisanego ołówkiem zrozumieć tylko słowo gazeta. Chodziło o redakcję gazety Polska. Wydawaną przez ambasadę polską dla Polaków w Związku Radzieckim, do której wysłałam wiersz poświęcony Witkowi. No i 9 października nadeszła, trzecia już depesza, a 26 października otrzymałam list. I tu jest pełniutki. Pierwszy list, to tego nie będę już czytać. O warunkach Polaków trochę. Zaczęła się zima, sroga, kazachstańska, z Polaków, którzy nie wyjechali z armią, w Cendryku mieszkali nadal Kaweckie, bracia W, Wierczyńskie, Warszelowa, Kępowie, kilka Polek z dziećmi. Którzy przecież żyli jeszcze na jakim takim poziomie, bo w lecie zarabiali w kołchozie. A poza tym wciąż mieli jeszcze coś z drobiazgów do sprzedania, garstki, płótno nici. W Majkunie mieszkali między innymi Modreccy, on pracował jako szef. Ona nie pracowała. Liczyła chyba ze 30 lat. Parała się wrózeniem. Było to zajęcie bardzo skomplikowane, jak powiedzieć klientom, petentom, turkmenom, że syn zginął na froncie, bo w kartach wyraźnie stała śmierć. A jak nie powiedzieć, jeśli jutro przyjdzie zawiadomienie, że zginął? Pani Modrecka bała się awantur i (nz) ze strony dzikiej klienteli, ale jakoś zawsze dobrze wybrnęła. Przynosili mleko i (nz) języka rosyjskiego nie rozumiała. Wróżby odbywały się na migi. Kiedy rejonowy prokurator powiedział do niej (nz) mydło, opowiadała, że był bardzo sympatyczny i mówił do niej kocino. Pani Wierchowaska z Poznania mieszkająca w Majkun miała dwie córki, o starszą 16-letnią Zosię ubiegał się jakiś dzikus. Żartując dobijała z nim dziewczyna targu, a potem musiała bardzo szybko wycofać się z żartu, bo dzikus chciał rzecz potraktować serio. Przeżyciem dla dzieci z sierocińca i Majkunskich Polaków były jasełka napisane i zorganizowane przeze mnie. Wyjechałam w

dwóch rzutach, znałam z opowiadań wyjazd drugi z Jangi Jul. Gdzie wiosną 42 roku formułowala się rzeczywiście ta wyśniona 8 dywizja, oprócz poborowych armia zabierała rodziny. Marszałowa pojechała na wezwanie, wróciła spłakana takie tłoki były przy ciężarówkach, że nie wszyscy którzy chcieli i nie ci co powinni pojechali. Jakiś oficer zepchnął ją z ciężarówki wsadzając na to miejsce kto wie czy obywatelkę polską, bo handel polskimi papierami i obywatelstwem rozkwitał w kontakcie z innymi narodowościami. To też nie żałowałam, że sierociniec nie pojechał na tułaczkę. Dzieci miały co jeść i ubrać się, ale umarła niestety 4-letnia Irka Langner od ukąszenia pająka, a wkrótce potem 17-letni Jurek Krasucki na gruźlicę.

[00:20:00]

Zawalił się świat 10 lutego 43 roku, kiedy to w prasie radzieckiej ukazał się komunikat (nz) ostro występujący przeciwko rządowi w Londynie o Katyń. W komunikacie zabrzmiała groźna nuta. Polacy zaniepokoiłi się, już zaczęły dochodzić wieści z Ałmaaty o aresztowaniu kilku pracowników placówki już w rejonowej placówce w Nowotroicku była rewizja i wkrótce delegat pan (nz) pojechał do kamieniołomów. Sierociniec był oczkiem w głowie placówki, spodziewano się i tu zmian. Tym bardziej, że po komunikacie (nz) stosunki z władzami radzieckimi stawały się coraz mniej przyjazne. 4 marca świętowaliśmy imieniny Węgrzyna Kazimierza, w jego nowej zamożniejszej izbie. Doktor zaczął siłować się na żarty z Węgrzynem i niechcący złamał mu rękę Kazimierz (nz) w łupkach. A już 15 marca przyszło zawiadomienie z rejonowego wydziału oświaty, że sierociniec przechodzi pod zarząd radziecki. Przyszła kierowniczka Rosjanka, oświadczyła personelowi, że jeśli chcą mogą nadal pracować w sierocińcu. Z tym tylko zastrzeżeniem, że przedstawia nowe dokumenty wydawane przez NKWD. Miejscowy NKWD-zista oświadczył, iż dokumenty wydaje Nowotroick i tam trzeba się udać. O nowych dokumentach słyszałam już coś. Trzeba było oddać udostojnienia amnestyjne lub inne zaświadczenia, w których potwierdzona była narodowość i obywatelstwo polskie, a zamiast tych papierów wydawano dokument z zaznaczeniem narodowość polska, lecz bez określenia obywatelstwa. Najgorsze było jednak to, że dokument mówił, iż zostaje wydany na podstawie uchwały prezydium wierzchniego Sowietu z dnia 24 października 1939 roku. Wszyscy dobrze pamiętali tę datę, była to data wcielenia zachodniej Białorusi i zachodniej Ukrainy do Związku Radzieckiego. A zatem niepokojono się czy nie jest to równoznaczne z pozbawieniem obywatelstwa polskiego. Personel sierocińca nie miał zamiaru brać dokumentów. Nie mieli takiego zamiaru i inni obywatele polscy z rejonu i kołchozów. A zatem trzeba było przygotować się psychicznie i

fizycznie na (nz). Ewa została w Majkunie, ale nie w sierocińcu, Szachnowscy i ja z matką i Węgrzynowie rozstawaliśmy się z dziećmi. Porozdawaliśmy im indywidualnie kakao, mydło, wiktuały i odeszliśmy. Ja z matką mieszkaliśmy już wtedy w miłej izbie u Czeczeńców, w rogu izby stały worki z kartoflami, bo dzięki rublom (nz) chcieliśmy tej wiosny wziąć działkę i obsadzić warzywami. Nic z tego. Trzeba było się żegnać. Z tłumoczkami na plecach poszliśmy wszyscy na cmentarz do Andrzeja, a potem ruszyli do Nowotroicka do NKWD. 20 marca, przedwiosenne roztopy, płaty śniegu leżały na stepie. Do Nowotroicka było 18 km. A w połowie drogi był kazacki kołchoz MPK, w którym jeden barak zamieszkiwali Polacy. Z mężczyzn byli tam tylko Świderski, który furmanił na Sybirze i odmroził nogi. Także owijał je płachtami workowymi oraz młody żwaczko, mąż zaufania polskiej placówki. Poza tym kobiety, kilku wyrostków. Kilka dorastających dziewcząt i kilka dzieci. Świderski miał pięcioro na przykład. W sumie ze 40 osób. Z okrągłymi ze zdumienia oczami słuchali o tym co się stało w sierocińcu, tu jeszcze było spokojnie. A więc po co pchać się tam w objęcia NKWD odrzekliśmy, może uda się przetrzymać tą całą historię z dokumentami.

[00:25:00]

Zaproszeni przez endekowców dostaliśmy kąt w baraku. Z sobą mieliśmy jeszcze pewne zapasy mąki i chleba. Poza tym przez dwie następne noce chodziłam z dziewczętami do Majkun po swoje przeznaczone na działkę kartofle. Jeść na razie było co. Przestronny step dawał schronienie gdy tylko na horyzoncie ukazywał się ktoś z kołchozowej władzy. Szachnowskim nawet przydarzyła się przygoda. Właśnie zbierali opał na stepie, gdy ujrzeli kogoś na koniu. Oczywiście konno mogła jechać tylko władza. Szachnowski momentalnie padł na ziemię i przykrył się wiązką topki, ale tak niefortunnie, że nogi zostały. Kazach na koniu zauważył to. Podjechał do Zofii zrobił kółko na czole i (nz). Z miejscowymi Polakami stosunki układały się dobrze. Endekowcy mieli trochę zarobionych zapasów żywnościowych i teraz na wiosnę szykowali się, że całą brygadą wyjdą w pole. Nie była zresztą byle jaka brygada a wezwani przewodnicy. Tymczasem kołchoz z nich zrezygnował. Zorganizowano zebranie. Przyszedł naczelnik kołchozu i oświadczył, że przyjmie ich do pracy pod warunkiem, że załatwią w Nowotroicku sprawę dokumentów. Wartko zawołał że nie przyjmie żadnych sowieckich papierów. Więc zaraz go przymknęto ale na dwa dni tylko. Nie to nie. Polacy obrazili się, mogą nie pracować jeśli władza ich nie potrzebuje i zaczęli chodzić na zarobek do Kazachów, mleć im pszenicę na żarnach i w odstępach ryż. Po tygodniu Kazaszki przestały przyjmować ich do pracy. Jeszcze po kilku dniach, a był już 9 kwietnia 43 . Kołchoz wymówił Polakom mieszkanie w barakach. Kto nie pracuje ten w kołchozie mieszkać nie

będzie. A kto chce pracować musi mieć w porządku dokumenty. Podobne wieści zaczęły nadchodzić z (nz) Majkunu i z całego rejonu Czu. Trwały fronty i ciężkie boje z Niemcami. A kilkaset Polaków w dalekiej Azji tułało się bez opieki. Najbardziej interesujący dla nas był problem, czy dojdzie do zerwania stosunków polsko-radzieckich. To niepokoiło. Niepokoiły też rewizje i aresztowania na placówce, ale ambasada milczała. Parnicki też. Wyszliśmy do Nowotroicka z Endeku całą gromadą po południu 10 kwietnia 43 roku. Byliśmy zrezygnowani. (nz) w dalekim Kujbyszewie nie było co liczyć. Naprzód sunął stary Świderski z krzyżem w ręku, w butach w workach, bo miał nogi odmrożone. Zanim baby, (nz) dzieci z tobołkami. Na końcu pochodu Szachnowscy, my z matką i Węgrzynowie. Cały tłum śpiewał serdeczna matko i posuwał się z wolna przez środek kołchozu. Potem minęliśmy kołchoz i wyszli na step. Potem okazało się, że uszliśmy już 4 km i można odpocząć. Jak zaczęliśmy odpoczywać zapadł zmierzch ukazały się gwiazdy, więc orzekliśmy, że (nz) taki przedwiosenny wiatr już ciągnie, że najlepiej być wraz z ziemią. Po co śpieszyć na poniewierkę do (nz). Poukładaliśmy się pokotem na trawie koło drogi i postanowili przenocować jeszcze na wolności, może to ostatnia wolna noc. Nazajutrz o 6 rano wstało piękne słońce. Trawy pachniały, chciało się oddychać jeszcze wolnością. Przecież nikt po nas nie przyszedł. Nikt nas przymusowo do więzienia pod karabinem nie pchał. Co ma być to będzie i tak z woli boskiej. Po co kusić diabła. Pomodlili się i poszukali ustronnej kotlinki. A w tej kotlince posiadali gdzie kto mógł i chciał.

[00:30:00]

I zaczęli ważyć śniadanie w kuchenkach polowych, które każda rodzina sobie ukopała. Cicho było, spokojnie, spędzili w kotlince cały dzień jako ludzie wolni. Zasmakowała im ta wolność. Jeść jeszcze mieli co. Topka na stepie. Porobili sobie zagrody z kurzajki, burzanów. Na kurajach rozłożyli kołdry czy płachty, żeby zasłonić się od wiatru i tak sobie siedzieli. 6 dnia zabrakło niektórym jedzenia. Kazaczki w Endeku dały się namówić i dały chleba za mielenie na żarnach, ale 7 dnia już nie chciały, bały się. 8 dnia późnym wieczorem (nz) wraz z chłopakami złapali młodego byka, który odłączył się od stada i niebacznie wpadł w zasadzkę, zamordowali go, a później szybko poćwiartowali. Każdy z gromady otrzymał...

Blazejewska-Kosinska_Maria_I-0040-6B

MBK: Otrzymał ze 3 kilo mięsa. Pospiesznie nocą wszyscy gotowali mięso zjedli łapczywie i spalili kości aby ślad nie pozostał, wszak w kolchozie wiedzano, że Polacy siedzą gromadą na stepie, dziwne i dzikie były tu życie. Lecz coraz częściej rozlegały się głosy, żeby iść do więzienia. Ogarniała nas rozpacz, bo zapasy się już kończyły. Siedzieliśmy na stepie od 10 do 20 kwietnia. 20 przyjechali jacyś trzej na koniach. A wy kto? A my Polacy. A czemu siedzicie na stepie? Bo kolchoz nas wygnał. A czemu was kolchoz wypędził? Bo nie mamy dokumentów. (nz) ach wy rozwrzeszczały się baby, wy skurwysyny, hołota, ludzi męczycie, niedoczekanie wasze. Po dłuższej naradzie rano w gromadzie zapadła decyzja, że pójdą niby brać dokumenty, ale gromadnie. Wszyscy staną pod NKWD w Nowotroicku i zobaczą co dalej. Przyszli. Stanęli. W NKWD powiedzieli, żeby przychodzić pojedynczo, a my nie chcieliśmy pojedynczo. Nikt nie chciał wejść pojedynczo tylko razem gromadnie, wszyscy. A NKWD nie przyjmowało tego do wiadomości. Na to w strachu przymknięto 18-letnią, pyskującą Henię Świdorską i Szachnowskiego, ale poza tym nie zmuszano ich, żeby weszli do budynku. Więc dokumentów nie przyjęliśmy, a jakoś tak się rozproszyli wszyscy. Węgrzynowie z matką i ze mną urwali się. Po co pchać się na oczy NKWD? Niech lud przemawia. Mieliśmy jeszcze trochę pieniędzy i dogadaliśmy się z Kulawym Filipem, pastuchem z Nowotroicka, że nas przyjmie na mieszkanie. Filip miał 30 lat. Był typowym chuliganem. Na niczym mu nie zależało. Przeklinał Stalina w żywy kamień i migdałił się z 17 z kolei żoną na wielkim piecu, który oddzielał dwie izby, jedną izbę zajęliśmy we czwórkę w drugiej królowała Filipowa z mężem. Reszta towarzystwa też rozpierzchnęła się. Powynajmowali się do pracy po prywatnych działkach. Przycupnęli gdzieś, dokumentów nie wzięli. A NKWD pod karabinem nikogo nie zmuszało. Dziwna historia, nie mogliśmy nic z tego zrozumieć. 26 kwietnia 43 ogłoszono zerwanie stosunków polsko-radzieckich. Kilka dni później ambasador Tadeusz Romer wraz ze żoną wyjechał ze Związku Radzieckiego. Kazimierza Węgrzyna aresztowano 24 maja, jako Majkuńskiego męża zaufania. Rękę miał jeszcze na temblaku. Przyszli po niego do Filipa. W tym dniu ja wybrałam się do Embeku, aby sprzedać Kazachom dwa worki i dwie metalowe puszki po kakao. Kazacy chętnie te puszki nabierali, (nz) na front, worków nie udało mi się sprzedać. Wróciłam do domu. Po aresztowaniu Kazimierza wróciliśmy do Majkunu do czeczeńskiej izby [...] już nie było, trzeba zarabiać na chleb, najlepiej pomagając Niemcom kopać ich działki, ale jeńców nie starczyło dla chętnych. Poza tym już oceniali z postury, że nie należymy do (nz) fizycznej pracy. Trzeba było iść do kolchozu, przyjęto nas, nie wspominając nic o dokumentach, szły

prace polowe potrzeba było ludzi. Doszła nowa gazeta Nowe Widnokreği, wydawana przez nowo założony Związek Patriotów Polskich, działo się coś nowego, Czeceńcy wymówili nam izbę. Przeniosłyśmy się do komórki z posłaniem, do Rosjanki. Szafa w kołchozie była trudna, upały nie do zniesienia, od godziny 12 do 14

[00:05:00]

nie pracowało się, bo glina odparzała stopy. Jeść nie było co. Te (nz) zaczynał się stary głód. Po całodziennym znoju, chodziłem wieczorami po dołach. Po lebiode na kolację oraz zielsko dla krowy jakiejś Niemki. Jakże trudno jest uzbierać cały wór zielska. Za ten wór Niemka daje kubek gorącego mleka. Któregoś tygodnia przy wypłacie brygadzistka zabrała nam deputat mąki na pomoc dla krasnej armii. A głód żarł kiszki i na dodatek znów poczęto (nz) przebąkiwać o konieczności wykazania się dokumentami uciekłyśmy z matką do Czu. Z Czu rejonowa stacja w odległości 28 km od Majkunu posiadała kilka przedsiębiorstw, między innymi dużą bazę buraczaną oraz całe osiedle domków kazackich robotników zatrudnionych przy załadowywaniu Faksahu. Faksahu dowożonego ze stepu na wagony towarowe idące do Taszkientu. W Czu delegatura polska planowała założenie filii sierocińca, więc wynajęła nam duży ładny, z drewnianą podłogą, a nie z klepiskiem pokój z gospodarczym zapleczem. Po zamknięciu placówki pomieszczenie było bezpieczne, ale opłacone, do pokoju wprowadziło się 10 kobiet i chyba dzieci też były. Były wśród nich Halina Z., żydówka, nauczycielka posiadająca paszport z 39 roku. Halina wraz z dwojgiem malutkich dzieci uciekła z ukraińskiego sowchozu kiedy nadchodzili Niemcy. Mąż jej zginął w tym zamieszaniu, a ona z dziećmi i pastuchami gnając stado baranów wylądowała w okolicy Stalingradu z Czu. Pracowała jako buchalterka, mnóstwo (nz) gdzie ładowano sakwału. A dzieci znajdowały się w rosyjskim sierocińcu. Dalej Witczakowa żona zawodowego podoficera z dwojgiem dzieci. Zaorska nauczycielka z Białostockiego z córeczką i jeszcze kilka inteligentek, bez pracy i środków do życia. Podobnie jak my. Bo inaczej jak Halina nie posiadających dokumentów. Stosunki były średnio przyjemne. Wszystkie głodowały, (nz) był tuż tuż. Wśród Polaków rozeszła się wieść, że istnieje przecież takie przedsiębiorstwo, gdzie nikogo nie pytają o dokumenty. Jest nim baza buraczana. Pociągnęli tam tłumnie. A wśród tego tłumu była matka i ja. Baza przygotowywała się do przyjęcia buraków cukrowych z kołchozu. Polki skwapliwie zatrudniono z Rosjankami, ewakuantkami z Leningradu. Przy kopaniu świeżego toru. Najpierw musiał być tor. Mordercza to była praca, skoro świt brało się łopaty i do 6 wieczór z dwugodzinną przerwą w skwarze, trzeba było kopać do zeschłej ziemi głębokie doły. Leningradki opowiadały straszne rzeczy o oblężonym Leningradzie. Podobno z głodu jedzono

tam ludzkie trupy. (nz) brygadzysta wrzeszczał i nie pozwalał ani chwili odpocząć. Za wzięcie buraka cukrowego groził wyrokiem sądowym. Mimo to kradliśmy buraki, aby w domu zagotować na nich wodę i pić tą wodę jak słodką herbatę. 8 lipca 43 roku dotarła do nas przerażająca wieść generał Sikorski nie żyje. Co będzie dalej? Chociaż już coś będzie, coś się dzieje. Dochodziły opóźnione bardzo poszczególne numery nowej Polski. Z których powoli wyłaniała się koncepcja Wandy Wasilewskiej. Koncepcja w której odnalazłam twarz Januszajtisa. Armia polska u boku armii czerwonej razem na Niemcach.

[00:10:00]

14 lipca 43 ogłoszono na bazie, że wszyscy bez wyjątku robotnicy mają nazajutrz przyjść z dokumentami. Matka i ja papierów żadnych nie miałyśmy a wyszłyśmy bez strachu, NKWD-zista sprawdzał. Sprawdził Leningradki i przystąpił do mnie. Dokumenty? Nie mam. A weźmiesz? A jak nie wezmę to co? Och nic takiego tylko zwolnimy cię z roboty. Też ten dokument już nie był ważny. Lada dzień zacznie się mobilizacja do nowej armii, a takie (nz) coś znaczą. Z czarnych zapasów uchowała się jeszcze czarna bostonowa sukienka amerykańska. Moje nogi znowu pokryły się wrzodami. Którejś niedzieli wyruszyłam na bazar dzierżąc kurczowo sukienkę. Bazar szumiał pełno Kazachów. Około południa jakaś rodzina (nz) zainteresowała się sukienką. Skolko? 1300 rubli odparłam z kipiejącym sercem. Skinęli poważnie głowami i Kazach w zaułku odliczył (nz). Papierki płatały mi się w oczach. Jedzenia znów w brud. Słodkie pomidory, melony, ogórki, chleb, kartofle i ajran, kwaśne, gotowane, kazachskie mleko. 26 sierpnia 43 przyszło na moje nazwisko wezwanie z rejonowej komendy wojskowej na punkt zborny. Zaczęła się mobilizacja do wojska polskiego. Oddałam magazynierowi służbową łopatę, a on twierdził, że nie oddałam i trzeba za sprzęt zapłacić. Z rozpaczy dostałam ataku hysterii. Wy sami ukradli łopatę darłam się. Widząc to magazynier uznał sprawę za załatwioną. Matka nie mogła rozstać się ze mną, chciała też być w armii. Poszły razem na punkt zborny w Czu. Były to baraki z dużym podwórzem, zaopatrzonym w piec do gotowania. Poborowi przebywali tam na własny koszt. Do miasta wolno było wychodzić, byle stawić się na teren podliczenia. W punkcie znajdowali się Polacy i Rosjanie. Wśród nich około 30 mężczyzn Polaków i 8 Polek. Ale wciąż przybywali nowi. Niedługo grupa polska liczyła 60 osób w tym 10 kobiet. Całe to towarzystwo spało pokotem na klepiskach w baraku myło się skąpo, wychodziłam na bazar po zakupy i następnie przez pół dnia trwało gotowanie mąki. Gdy przyjechał przedstawiciel rejonowej komisji matka oświadczyła stanowczo że wstępuje do armii na ochotnika. Liczyła wówczas 43 lata, a mówili Zofia obejmowała kobiety samotne, bez dzieci do 30 lat.

Zgodzono się i wpisano ją na listę. W 3 dni później przybył naczelnik z listą do transportu. Wywołano wszystkich z wyjątkiem mnie. Zaniepokoiłam się. Przecież byłam zmobilizowana. Nie szkodzi uspokajał naczelnik. Na razie odpowiednie papiery z rejonu Nowotroicka jeszcze nie nadeszły. Pojedziecie w następnym transporcie. Mobilizacja trwa. Całowaliśmy się z matką gorąco. Spotkamy się w Siedlcach (nz) a matka nie może czekać ze mną. Musi jechać, aby komisja nie zrezygnowała z ochotniczki. Pojechali wieczorem. Zostałam, siedziałam na tym zbornym punkcie 10 dni, przejadłszy wszystkie pieniądze. Transporty odchodziły co drugi dzień, a moich dokumentów ciągle nie było. 8 września przyjechał naczelnik i oświadczył że mobilizacja zakończona. Mężczyzn wszystkich ze mną, a kobiety mogą rozejść się do domów i czekać na ogłoszenie powtórnej mobilizacji. Kobiet zostało kilka z różnych kolchozów. Dokąd wracać o to pytanie, które mnie gnębiło. Pomoc okazała Michalina, zapraszała do wspólnego pokoju w Czu. Tam gdzie mieszkaliśmy poprzednio. Powłokłam się. Nogi bolały, drżały, w pokoju przyjęto mnie niechętnie. W 10 osób nie było łatwo mieszkać. Halina wyprowadziła się już zresztą z tej mordowni.

[00:15:00]

Jako buchalterka miała prawo zamieszkać na osiedlu robotniczym. W którym gnieździł się ładowniczy faksauł. Otrzymała izbę i sionkę w połowie domku i zabrała ze sobą mnie. Dzieci Haliny nadal przebywały jeszcze w rosyjskim sierocińcu. W izbie stało jedno łóżko, które Halina zasłała skórą. A drugą skórę położyła przed gliniastym piecem. Poza tym do sprzętu należała jakaś stara, Skobolowa, wyłudzona od Kazaczek, na której można było piec placki. Ale nie mieliśmy maki, więc nie piekliśmy. Za to było trochę kukurydzy. Całymi wieczorami (nz) siedząc przed ogniem na baraniej skórze zagryzając kukurydzą głód snułyśmy górne marzenia, jak to będzie gdy wrócimy do kraju. Bo przecież wrócimy. Rosjanie pędzą wroga. W zimie skończył się Stalingrad. Halina w czasach studenckich należała do młodzieżowej organizacji Życie. I jej poglądy były komunistyczne, różniły się od moich. Ja byłam pełna niepokoju i wątpliwości, ale dyskusje nie przeszkadzały nam w przyjaźni. Trzeba było iść do pracy, czekając na powtórna mobilizację i wieści od matki. Halina знаła Andrzeja Nikolajewicza, naczelnika rejonowego (nz) postanowiła mnie znów wkręcić. Poszła na rozmowę do Rosjanina. Z tych których w 33 roku wysiedlono z Rosji do Kazachstanu przeszedł swoje. Bardzo mi się podobał i łatwo się zgodził zatrudnić mnie jako brygadzystkę ładowniczy faksauł. Drugim brygadzystą był młody Kazach. Robotnicy wychodzili z domków na dźwięk szyny. Wałąc w szyny brygadzysta dawał znak że nadeszły lory. Odkryte wagony na które trzeba było ładować faksauł. Działo się to najczęściej pod wieczór. Byłam

brygadzystką tylko kilka dni. Kiedy nocą w świetle nikłych lamp zobaczyłam te obdarte stwory ludzkie wspinające się po lorach i układające sękatę, korzeniastą drzewa ludzie ci wydawali mi się podobniejsi do małp niż do ludzi. Więc chodziłam obok wagonu, gdzie zamiast pilnować robotników oblewałam łzami ten brak człowieczeństwa. Siedziałam w obozie i nie wiedziałam co znaczy być pilnowanym jak małpa, nie człowiek. Wiedziałam, nie chciałam nikogo pilnować. A co będzie gdy spadnie śnieg? Andrzej Mikołajewicz właśnie przyjechał na inspekcję. Zobaczył moje (nz) i zrozumiał bez słów, zwolnił mnie bez słów. A tymczasem Halina molestowała naczelnika ochrony. Aby przyjął mnie do osiedlowej straży pożarnej, będącej jednocześnie strażą mienia. Zgodził się. Zostałam przyjęta jako jedyna Polka, co podkreślił że niby mają do mnie mimo mojej narodowości zaufanie. (nz) to byli Rosjanie. Starsi mężczyźni i kobiety ewakuantki. Straż pożarna miała prawdziwy czerwony wóz, który obsiadano po bokach i z wielką paradą przeraźliwie dzwoniąc wóz ruszał ciągnięty przez dwa konie. Za swojej kadencji nie widziałam żadnego pożaru, jeździło się na ćwiczenia na step. Aby zręcznie rozwijać gumowe węże ta sama kompania ochraniała obiekty takie jak (nz) kantor i magazyny żywnościowe, dyżurując jak w fabryce na trzy zmiany. Dla dodania dozorców animuszu i powagi, zaopatrzone je w stare strzelby, ale bez nabojów. Dały mi się we znaki dyżury nocą. Mróz, śnieg, wyiskrzzone niebo. A ja siedziałam stulona na starym (nz) wśród (nz) na podwórzu nad korytami, tuż obok stajni. Osłaniając za starym wiklinowym koszem od wiatru pilnowałam kantoru i magazynu. Liczyłam gwiazdy, szukałam pierwszej niedźwiedzicy, deklamowałam wiersze i jakoś 3 godziny upłynęły.

[00:20:00]

Potem lichy podkuśło mnie aby ogrzać się w stajni, ze strzelbą pilnie strzeżoną na kolanach. Zdrzemnęłam się. Kiedy ocknęłam się stał nade mną naczelnik ochrony z moją strzelbą w ręku. Ale był to dobry człowiek. (nz) raz przyłapał mnie na drzemce w nocy, gdy dyżurowałam pod gołym niebem pod gołym niebem na stacji faksaułu. Wypalił mufkę napominającą, lecz wszystko to było w ojcowskim stanie. Nigdy więcej już nie zasnęłam, za to zajęłam się kradzieżami. Kiedy pilnowałam faksaułu w nocy. Z domku wybiegała Halina i zabierała kilka kawałków do izby. Poza tym ukradła z biura paczkę gwoździ. Kiedy indziej gdy warowałam koło magazynu, ze zdziwieniem spostrzegłam, że drzwi są otwarte, ale uspokoiłam się nie żadni złodzieje, tylko magazynierka (nz) pomocnikiem. Załadowałam mu na plecy dwa wory mąki, a spostrzegłszy mnie mruknęła dawaj swój worek. Wyciągnęłam woreczek po chlebie, a Dyza naładowała go kartoflami. Jakże byłam jej wdzięczna, sama Dyza mi to dała, jest magazynierem, więc chyba ma prawo. Głupia rzekła Halina. (nz) dali ci

kartofli, abyś milczała. 23 października przyszła kartka z Sielc od matki. Matka pisała, że jest to jej 17 kartka z rzędu, że czuje się bardzo dobrze i że czeka na mnie. 7 listopada na święto rewolucji w ochronie mienia było tak zwane (nz) czyli dzień wzmożonej czujności. Trzeba było czuwać całą dobę na strażnicy. Wszyscy razem ze strzelbami oczywiście. Ciekawy to był widok. Żadnych rozruchów oczywiście nie było. 16 listopada przyszedł list od matki zalecający mi wszczęcie. To samo później dwa dni potwierdzało pismo z Moskwy w związku patriotów polskich podpisane przez Janinę Groniewską. Na skutek starań Marii Błażejewskiej ZPT poleca mi starać się we własnym zakresie w radzieckim wojenkomacie o jak najszybsze zmobilizowanie do polskiego wojska. Więc zaczęłam działać. Nogi bolały, wrzody odnowiły się, ale gdy pracowałam w nocy w dzień szłam do Nowotroicka i tam prosiłam naczelnika o zmobilizowanie. Tymczasem nogi ropyły, osłaniałam je ciepłą bielizną amerykańską i wełnianymi pończochami. Przerobionymi ongiś z wełnianych skarpet jeszcze przez dziewczynki z sierocińca. Wychodziłam z wojenkomatu kulejąc, murzyńskie, twarde, amerykańskie buty wrzynały się w kostkę, ani mi do głowy przyszło, że jestem obserwowana. 10 km z powrotem z ciężkim sercem i burzą myśli. Głodowaliśmy z Haliną bardzo. Cebuli nie dawano na przydział. Więc byliśmy zupełnie odwitaminizowane. Halina przywiozła dzieci bo już nie wytrzymała bez nich. Zaorska poradziła mi, żebym do wrzodów przyłożyła papier posmarowany mydłem, powinny pęknąć. Więc gdy miałam służbę w nocy, w dzień leżałam na jedynym w izbie łóżku, smarowałam mydłem nogi i wyłam z bólu zwyrodnienia pękały. Było to 21 listopada 1943 roku. Wpadła Zaorska. (nz) do wojska. Nie miałam siły cieszyć się. Nogi bolały, dzieci Haliny domagały się jeść. Wlokłam się po wypłatę do straży pożarnej, potem ponieważ rubli brakowało znalazłam nabywcę na swoje połatane buty. Sprzedałam je za 50 rubli i w zamian kupiłam sobie słomiane łapcie za 13 rubli. Wyglądałam w nich rozpaczliwie, ale były zupełnie ciepłe. Rozstałam się serdecznie z Haliną i ruszyłam na punkt zborny. W węzélku miałam sweterek Witolda, kawałek ołówka, listy od teściów, 2 fotografie Krzysia, Krzysiovy kaftanik, ręcznik oraz kawałek mydła. Pamiątki po Andrzeju zabrała ze sobą matka. Na punkcie spotkałam 18-letnią Zosię Mańkę.

[00:25:00]

Wychowanek sierocińca, 19-letnią Czesię i jeszcze kilka młodych. Nazajutrz przyjechał Naczelnik i wywołał mnie, Zośkę, Czesię i jeszcze tę czwartą do komisji lekarskiej. To zaniepokoiło mnie. Nogi miałam we wrzodach, oblepione papierami. Komisja dwie lekarki gładko przepuściły trzy dziewczyna. A kiedy przyszła moja kolej komisja spytała zdrowa? Haraszo? Niet wtrącił naczelnik wojenkomatu. Ona szto to chromajet. Tak zainteresowała się

komisja, pokaż nogi. Powoli ociężałe ściągnęłam kawałek pończochy, błyskawicznie wsadziłam rękę w zgięcie kolanowe w tyle nogi, szarpnęłam papier, chlast, a więc wrzód pękł. (nz) powiedziałam to tylko czyraczek. Szczęśliwie komisja była babska i stokroć bardziej od nóg wręcz delektowała się wełnianymi pończochami, amerykańska. No, no. Cmokały z zachwytem. To wystarczyło, błyskawicznie podciągnęłam pończochy. Czarowałam jeszcze przez chwilę lekarki rozmową i szybko opuściłam pokój. Pod wieczór odszedł z punktu pierwszy transport. Transport jechał bez przewodnika z wojenkomatu, bo składał się tylko z czterech osób. Ja Zosia, Czesia i ta czwarta. I teraz droga wiodła z Czu przez Aral nad Morzem Aralskim, Aktubińsk, Kujbyszew, to pan czytał.

R: Tak, tak.

MBK: Miasta położonego w rosyjskiej federacyjnej republice, niedaleko, bo tylko 200 km od Moskwy, w sumie chyba było 8000 km. Jechało się od 23 listopada do 3 grudnia. Transportowi polskiemu było wesoło na duszy i lekko na sercu oraz węzełkach. Ponieważ Zosia Mańka dysponowała maleńkim neseserkiem. Wszystkie włożyliśmy swoje rzeczy do tego neseserka i wszystko tam się mieściło. Transport każdego dnia otrzymywał na stacjach żołnierski pajoł, składający się z kawałka chleba, kawałka czekolady i małego bloku konserwy ryżowej. Ponieważ nie było gdzie gotować gryzliśmy tę konserwę jak chleb. Podróżowaliśmy razem z krasnoarmiejcami. Chłopcy mieli harmażkę. Poza tym spotykaliśmy transporty mężczyzn Polaków z różnych rejonów. Niektórzy z towarzyszy podróży byli tak przewidujący, że wieźli z sobą worki lub wiadra na sól nad morzem aralskim. Kupowali za kopiejki pełno soli. A potem z wielkim zyskiem sprzedawali ten towar na terenie republiki rosyjskiej. Do Kujbyszewa przybyliśmy nocą trzeba było przesiąść się do innego eszalonu. Dworzec zaciemniony, pomykając pod wagonami znalazłem swój eszalon, ale drzwi zamknięte. Kierowniczka pociągu nie chciała puszczać więcej osób i wtedy pomógł nam jakiś złodziej polski, który wytrychem otworzył drzwi z drugiej strony wagonu. Weszliśmy. Kierowniczka pociągu wybiegła z latarką w ręku zagrażając nam drogę. Wy kuda? A tu da. Mruknięłam. A za mną gęsiego dziewczęta. Kierowniczka pociągu rozwrzeszczała się i usiłowała wypchać mnie. Zapałam się na bolących nogach, kierowniczka chwyciła mnie za włosy. Zmierzyliśmy się siłami, ale dziewczęta pomogły zgodnie pchając mnie na przód. A już i z czeluści wagonu dochodziły wołania. To nasze, puszczajcie je. One też do Anglii. Dalsza podróż odbyła się bez przeszkód. 3 grudnia 43 roku wraz z innymi wylądowałam na stacji Diwoło 13 km od (nz) sieleckich.

R: Komisja już (nz) w Sielcach?

MBK: Nie.

R: Tam na miejscu w Kazachstanie?

MBK: Na miejscu, bo był punkt poborowych i ja na tym punkcie poborowych przesiedziałam 10 dni i przejadłam wszystko. Bo żywiliśmy się na własny koszt.

R: Kiedy pani dotarła do armii do punktu formowania?

MBK: Więc nasi sprytni z wiadrami i workami jechali do armii.

R: W czasie podróży.

MBK: Tak i sól przewozili znad morza aralskiego. Mówię panu. Tu przez Aralsk nad morzem aralskim. Aktubińsk, Uralsk, Kujbyszew do Riazania miasta położonego w republice federacyjnej rosyjskiej, niedaleko bo tylko 200 km od Moskwy. W sumie chyba z 8 tys. km. Jechało się od 23listopada do 3 grudnia. Transportowi polskiemu było wesoło na duszy i lekko na sercu oraz w węzłkach podróżowaliśmy razem z Krasnoarmiejcami. Spotykaliśmy transporty Polaków z różnych rejonów, no więc kupowali za kopiejki pełno soli nad morzem aralskim i z wielkim zyskiem sprzedawali ten towar na terenie Republiki Rosyjskiej.